Nr. 65. Lwów — Wtorek dnia 19 Marca. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszed. o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłaty zaległe uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 hal.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, wieczorów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach i znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 8.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 4 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 5 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Rękopismów Redakcya nie zwraca. Niefrankowanych listów nieprzyjmuje.

Dziś: św. Józefa Obl. | 42 Męcz. w Am.
Jutro: św. Joachima | Bazylego
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca o godz. 5 min. 37 Zachód „ „ 5 „ 27
Długość dnia godzin 11 min. 49 Przybyło dnia od wczoraj 5 min.

Program kanclerza Bülowa.

W ostatnich czasach oziębły stosunki junkrów z rządem berlińskim. Jakaś nieufność powstała między kanclerzem a „podporami tronu“. Podczas wyborów do parlamentu rząd kokietował z liberałami, popierał ich kandydatów nawet pieniędzmi z funduszu dyspozycyjnego, nakazał na nich głosować urzędnikom. To oczywiście obudziło zazdrość w agraryuszach, którzy już nawykli do roli „pobocznego rządu“. A kiedy po zebraniu się parlamentu rząd wystąpił z kilku projektami, korzystnymi dla „warstw mieszczańskich“, przedewszystkiem zaś z projektem reformy ustawy giełdowej, junkrowie poczuli, że kanclerz wchodzi na drogę niebezpieczną dla nich. Przypomnieli sobie, że on pozbawił urzędu ministra rolnictwa, ich ulubieńca Podbielsky'ego, i że przed wyborami oświadczył, iż chce się opierać na chwilowych koalicyach wszystkich stronnictw narodowo-niemieckich, a więc nietylko na nich jednych, lecz także na liberałach i postępowcach, jak mu na razie będzie wygodnie, z czego wynika, że wszystkich też dopuści do państwowego żłobu. Już nietylko zazdrość, ale i żółć zaczęła się burzyć w junkrach. Jęli oni podkopywać kanclerza, ranić go krytykami nawet jego polityki antipolskiej, a wychwalać ministra spraw wewnętrznych hr. Posadowsky'ego, jako znakomitość, która powinna stanąć na czele rządu Rzeszy. Wnet też pojawiły się przykre dla p. Bülowa pogłoski to o tem, że on czuje się znużonym, to znów, że ów atak apoplektyczny, który on miał w roku przeszłym, zostawił ślady w jego umyśle. Zaraz potem doniesiono, że on nabył za dwa miliony marek pałac rosyjskiego hrabiego Bobryńskiego na Monte Pincio w Rzymie i że wkrótce pojedzie tam z żoną. Powstała nawet sprzeczka w dziennikach, kiedy on tam pojedzie i czy na zawsze. Dzienniki liberalne dowodziły, że układy z hr. Bobryńskim o wspaniałą „Willę Maltę“ trwały już od lat kilku, a doszły nareszcie do skutku nie dlatego, że kanclerz chce podać się do dymisyi, jeno dlatego, iż zamierza urządzić w tej willi jakąś instytucyę niemiecką, złożyć dowód swych płomiennych uczuć patryotycznych, a oto źli ludzie zatruwają mu życie! Dzienniki junkierskie odpowiadały na to frazesami słodkimi jak miód o drogiem życiu p. Bülowa, które koniecznie wymaga ciszy i spokoju pod niebem włoskiem, a nie pod posępnem nad Sprewą.

Było widoczne, że p. Bülow powinien koniecznie uspokoić junkrów. Skorzystał więc z tego, że delegaci związków agrarnych zjechali się w Berlinie na narady i ucztę, zaprosił się na bankiet i podczas niego wygłosił programową mowę. Ma on zwyczaj porównywać stosunki polityczne do małżeńskich. Zawsze on, lub rząd berliński jest mężem, a ktoś inny jest żoną. La donna è mobile, wolno więc jej flirtować, za wiele turów walca tańczyć z jakimś galantem, a mężowi przystoi być w miarę pobłażliwym, po niemiecku wiernym i stale przekonanym, że żona, pomimo flirtów i walców, wierną będzie temu, kto jej daje dostateczne utrzymanie. Ten czysto pruski pogląd na małżonki roztoczył p. Bülow także przed junkrami, a ubawiwszy ich w ten sposób, rzekł, że w każdem małżeństwie muszą być burze, po których nastaje jeszcze większa ścisłość stosunku, jeszcze serdeczniejsze zaufanie. Wyraził niezachwiane przekonanie, że tak samo się stanie między nim a junkrami. Wprawdzie rząd nie może tylko o nich jednych pamiętać. Stosunki tak się złożyły, że musi być poligamia, ale oni zawsze będą najpierwszymi i jedynie ukochanymi. To im nietylko z prawa się należy, ale także chce tego cesarz, który się uważa za ziemianina i na ziemian kształci swych synów.

Lecz jakiż jest program? Oto, kanclerz tak mówił:

„Ciężką i ważną stoczyliśmy walkę, która sprawiła wielkie zaburzenie, ale też obudziła zdrowy sens narodu i wzmocniła patryotyczne uczucie jego. Węzły przyjaźni, które wśród tej walki powstały między rządem a mieszczaństwem, nie mogą być rozluźnione, lecz owszem trzeba je wzmacniać. To nie powinno osłabić wzajemnej ufności między agraryuszami a kanclerzem państwa. Chwiać się jej nie wolno, gdyż ona jest filarem gmachu naszych stosunków. Ja się nie przyczynię do jej chwiejności. Jeżeli uznałem za konieczne spełnić dawne życzenia stronnictw mieszczańskiej lewicy, otworzyć niektóre liberalne klapy; jeżeli więc oświadczyłem w parlamencie, żem gotów zreformować ustawy o stowarzyszeniach i zgromadzeniach, oraz procedurę karną, kodeks i ustawę giełdową, to dlatego, że jako odpowiedzialny kierownik spraw państwowych nie mogę zwlekać ze zmianą stosunków niezgodnych z duchem czasu na zgodne z nim za pomocą odpowiednich reform. Było to wielką mądrością angielskiej arystokracyi, która w porę uczyniła konieczne ustępstwa. Błogosławionym skutkiem tej mądrości jest to, że Anglia od przeszło lat dwiestu nie wie, co to rewolucyjne wstrząśnienia. Jasny jest mój program: Obrona narodowej pracy, obrona naszej produkcyi, obrona, opieka i szczególna troskliwość o nasze rolnictwo. Mojem zdaniem, tytuł „agraryusza“ jest bardzo zaszczytny. Kiedy już się wycofam z publicznego życia — a to się kiedyś stanie, chociaż nie tak prędko, jak niektórzy utrzymują, — wówczas, spodziewam się, na mym politycznym grobowcu wyryte będą słowa: „Ten był agrarnym kanclerzem państwa!“ Moja ekonomiczna polityka jest dobra, skoro dotąd dała same dobre owoce: rolnictwo się podnosi, a przemysł kwitnie i jedno drugiemu wcale nie zawadza, a w dodatku mogliśmy zadać dobry cios socyalnej demokracyi. Któż dobrowolnie zbacza z tak pomyślnej drogi? Lecz nie jest jeszcze ona całkiem utorowana. Widzę na niej braki, które muszę usunąć. Trzeba zaradzić niedostatkowi robotników rolnych, a to zamierzam zrobić przez planową kolonizacyę i przez przywiązanie robotników do ziemi. Liczę na to, że nowy minister rolnictwa, idąc w ślady swego znakomitego poprzednika (Podbielskiego) pomoże mi szczęśliwie rozwiązać kwestyę uwolnienia ziemian od długów. Taki jest mój program“.

Naturalnie, dano kanclerzowi brawo. Bo jakże? I robotników on dostarczy agraryuszom, i długi z nich zdejmie, i nietylko będzie nadal otaczał ich opieką, ale także szczególną troskliwością. Za cóż mają gniewać się na niego? Niech sobie coś tam zrobi i dla liberałów!

Więc kanclerz Bülow już może nie jechać do swej „Willi Malty“ na Monte Pincio w Rzymie. Małżeństwo się pogodziło. Ale nie ma na świecie zupełnego zadowolenia: dzienniki się odezwały ze zdaniem, że nie ma nic łatwiejszego, jak ułożyć ładny program, — wykonać go, to dopiero sztuka!

Korespondencye.

Wiedeń, 16 marca.

(Jubileusz cesarskiego zakładu zastawniczego. — Książę Robert Broglie i jego małżonka).

(y). W cichości obchodziło wczoraj dwóchsetną rocznicę swego istnienia jedna z najpożyteczniejszych instytucyi, jakiemi poszczycić się może Wiedeń. Instytucyą tą jest cesarski zakład zastawniczy, zwany „Dorotheum“, a mieszczący się we wzniesionym przed kilku laty wspaniałym gmachu przy Dorotheergasse i mający swe filie po wszystkich przedmieściach Wiednia. Powołany on został do życia patentem, wydanym przez cesarza Józefa I. w dniu 14 marca 1707, jako instytucya, mająca stać na usługach dobroczynności publicznej i sprawować funkcye bankiera najuboższych warstw ludności.

Po długim okresie wojen tureckich rozpanoszyła się bowiem wówczas na dobre nędza w Wiedniu i okolicy, a ponieważ nie było jeszcze odpowiednio zorganizowanej dobroczynności publicznej, przeto biedni ludzie wystawieni byli na straszny wyzysk niesumiennych lichwiarzy. Na dworze cesarskim rozbierano rozmaite projekty ulżenia nędzy ludności, wreszcie sam cesarz Józef I. wpadł na pomysł wysłania kilku urzędników do Amsterdamu celem zbadania urządzeń tamtejszego sławnego banku zastawniczego, zwanego „Pignoratitium officium“ i stworzenia następnie w Wiedniu podobnego zakładu. Wysłańcy cesarscy, powróciwszy z podróży, zdali o owym zakładzie amsterdamskim jak najlepsze relacye, to też już w dniu 1 kwietnia 1707 rozpoczął swą czynność w Wiedniu cesarski urząd zastawniczy i odrazu zyskał sobie popularność. Wprawdzie żydowscy lichwiarze wszelkimi możliwymi intrygami starali się zdusić w zarodku tę tak niewygodną dla nich instytucyę i znaleźli nawet wśród dworzan cesarskich protektorów, którzy usiłowali przekonać cesarza, że taka publiczna wypożyczalnia pieniędzy będzie dla wielu tylko zachętą do trwonienia pieniędzy — ostatecznie jednak opozycya ta umilkła, a wiele osób z arystokracyi, widząc, jak wielkiem dobrodziejstwem jest ta instytucya, robiło na rzecz jej znaczne zapisy, aby przez to umożliwić jej pobieranie jak najmniejszego procentu. Ciężkie czasy nastały dla niej podczas inwazyi Francuzów w latach 1805 i 1809. Z obawy, aby wojska francuskie nie zrabowały nagromadzonych w magazynach zakładu zastawniczego fantów, wywieziono je do Węgier i przez pewien czas wcale nie udzielano pożyczek na zastawy. Dopiero gdy wojska nieprzyjacielskie opuściły kraj, otwarto na nowo podwoje cesarskiego zakładu zastawniczego i od tego czasu nic już nie powstrzymało jego rozwoju, nawet lata rewolucyjne 1848 i 1849. Jest on dziś prawdziwem dobrodziejstwem biednych warstw ludności i wyrugował zupełnie prywatne lichwiarskie lombardy. Nie tak to dawne czasy jeszcze, gdy w każdej dzielnicy Wiednia napotykało się na niezliczone lokale z wywieszonym szyldem „Geld für Alles“. Były to prywatne lombardy, pożyczające pieniądze na fanty na 100, a nawet na 200%. Dziś nie ma już w Wiedniu ani jednej takiej nory, bo w cesarskiem „Dorotheum“ otrzymać można pożyczkę na 5 do 6% na każdy wogóle przedmiot przedstawiający jakąkolwiek wartość. Przy jednem okienku zastawiają tam brylanty, złoto i srebro za tysiące koron, a przy innych suknie, bieliznę, pierzyny i poduszki. Nawet okulary, lub parasol można tam zastawić za parę koron, jeżeli przedstawiają jakąś wartość. Zwłaszcza podczas tej srogiej zimy napływ biedaków znoszących zastawy do „Dorotheum“, był olbrzymi.

Od paru dni bawi w Wiedniu i mieszka w „Grand Hotelu“ bardzo interesująca para małżeńska, której losami zajmowała się już żywo publiczność zarówno londyńska jak i amerykańska. Jestto książę Robert Broglie potomek jednego z najstarszych arystokratycznych rodów francuskich i jego młoda małżonka Estella. Książę Robert Broglie ożenił się przed kilku laty wbrew woli swego ojca ks. Amadeusza Broglie ze starszą od siebie baronową Destandes, skutkiem zabiegów jednak ojca zostało to małżeństwo unieważnione. Następnie podczas pobytu swego w Monachium poznał książę Robert swą teraźniejszą żonę Estellę, Węgierkę, która wraz z rodzicami swymi wyemigrowała do Ameryki i wykształciła się na śpiewaczkę, poślubiwszy jednak bogatego Amerykanina Veita, wyrzekła się karyery scenicznej. Między księciem Robertem a Estellą zawiązał się stosunek miłośny i oboje zakochani wyjechali do Włoch. Stary książę Broglie wysłał starszego syna do Neapolu w pościg za Robertem i nakłaniał go do powrotu do domu rodzicielskiego, ponieważ jednak wszelkie perswazye nie pomogły, przeto wydziedziczył go i nie posyłał mu odtąd ani grosza na utrzymanie. Oboje zakochani udali się do Ameryki, gdzie Estella uzyskała rozwód z Veitem, poczem pobrali się w Chicago. Przez jakiś czas cierpieli wielką biedę, aż nie mogąc sobie poradzić w inny sposób, przyjęli propozycyę dyrektora jednego z nowojorskich teatrów rozmaitości, który ofiarował im ogromną gażę pod warunkiem, że książę będzie dyrygował orkiestrą, a księżna śpiewać będzie na scenie. Przez trzy miesiące teatr ów był codzień wysprzedany, tak tłumnie śpieszyła doń publiczność nowojorska, by zobaczyć tę interesującą parę. W styczniu i lutym produkowali się małżonkowie Broglie w londyńskim teatrze Tivoli, na sezon wiosenny zaś zaangażowani są do paryskiego teatru „Scala“ za honoraryum 2000 franków od wieczora. Tymczasem przyjechali do Wiednia. Stary książę Broglie i teraz stara się nakłonić ks. Roberta do porzucenia swej żony i powrotu na łono rodziny, książę Robert jednak nie chce nawet słyszeć o tem. Dyrekcya Ronachera czyni starania o pozyskanie książęcej pary bodaj na kilka wieczorów.

Z centralnego Związku fabrycznego.

Lwów, 18 marca.

W wielkiej sali ratuszowej odbyło się wczoraj doroczne walne zgromadzenie członków gal. Centralnego Związku fabrycznego. Przybyli na nie: pan namiestnik Potocki, delegat ministeryum handlu radca Fedorowicz z Wiednia, dyrektor kolei Rybicki z polecenia ministeryum kolei, delegat Wydziału krajowego p. Jahl, prezes gal. Tow. gospodarskiego p. Brykczyński, w imieniu krakowskiego Tow. rolniczego p. Zdzisław Tarnowski, prezes Tow. naftowego p. August Gorayski i kilkunastu posłów sejmowych. Po zagajeniu obrad przez przewodniczącego p. A. Lubomirskiego, powitał zebranych imieniem miasta p. wiceprezydent Rutowski. Potem p. Fedorowicz zapewnił zgromadzenie o życzliwości ministeryum handlu dla uprzemysłowienia naszego kraju i wspominając kolejno stanowisko ministeryum wobec rozmaitych spraw naszego przemysłu, wykazywał jak życzliwie sprawy te są traktowane w Wiedniu. Dyrektor Rybicki oświadczył, że upoważniony jest wyrazić w imieniu ministra kolei jego życzliwość dla rozwoju przemysłu naszego i zapewnić o jego dla nas najlepszych chęciach. Życzliwość swoją i serdeczne życzenia powodzenia w akcyi o uprzemysłowienie kraju wypowiedzieli następnie: prezes Brykczyński, prezes Izby handlowej lwowskiej p. Horowitz i Izby krakowskiej poseł Federowicz.

Przystąpiono do sprawozdania Wydziału z jego czynności w roku administracyjnym 1905 6. Sprawozdania nie odczytano, gdyż rozesłane ono było drukowane wszystkim członkom, tylko dyrektor biur Związku p. Battaglia uzupełnił omówieniem stosunku Związku do austryackiego *Zentralverbandu* i kilkoma uwagami dotyczącemi szczegółów działalności Związku.

Następnie głos zabrał p. Binder. Wskazał on na szczupłość sił, jakiemi rozporządza Związek, a następnie omówił doniosłość ekonomiczną i społeczną, jaką ma dla naszego kraju sprawa uprzemysłowienia. W końcu zaproponował bardzo obszerną rezolucyę, w której powiedziane jest, że jedną z głównych przyczyn, dlaczego przemysł nasz utyka, jest brak dostatecznego uwzględnienia czynnika gospodarczego w wychowaniu; reforma w tym względzie miałaby bardzo doniosłe znaczenie społeczne. Dalej wskazuje rezolucya na konieczność reformy administracyi publicznej przez jej uproszczenie i przyśpieszenie postępowania, a w administracyi kolejowej specyalnie przez jej decentralizacyę. Z kolei podnosi rezolucya, że nadmierne obciążenie podatkowe, tak przez podatki bezpośrednie jak i pośrednie, przemysłu i handlu, jak i wogóle ludności miejskiej ogromnie utrudnia rozwój przemysłu. Drożyzna artykułów żywności i drożyzna mieszkań, którym władze nie przeciwdziałają, należy również do szeregu okoliczności dla rozwoju przemysłu bardzo niekorzystnych. Z kolei rezolucya porusza sprawę kartelów; domaga się wydania ustaw, któreby zapobiegały nadużyciom kartelów i protestuje przeciw zgubnym dla przemysłu wpływom kartelu żelaznego. W końcu rezolucya żąda przyśpieszenia tempa w akcyi kraju, zmierzającej do poparcia rozwoju rodzimego przemysłu. Wnioskodawca zaproponował, ażeby Wydziałowi Centralnego Związku polecić, żeby wyrażone w tej rezolucyi życzenia przedstawił rządowi i działalność swoją wytężył, starając się o spełnienie tych postulatów.

Następnie p. Żeleński (z Krakowa), zwracając się do reprezentanta ministeryum handlu, podniósł kilka skarg na niedogodności, na jakie poczta w Krakowie naraża publiczność. N. p, pierwszą pocztę listową roznoszą w Krakowie o godzinie 12 w południe. Brak jest urzędni-

Przez buty do awansu

Jeżeli urzędnik awansuje dla tęgiej głowy, szerokich pleców, lub giętkiego karku, to jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, ale żeby kto przez jakąś część garderoby, np. przez buty awansował, to już należy do rzadszych wypadków. Takiemu właśnie wypadkowi zawdzięczał mój kolega biurowy, pan Alfons, swój awans, i to w pierwszym rzędzie butom swego szefa....

Lecz nie wyprzedzajmy wypadków.

Nasz p. naczelnik był to człek zacny i dobry dla nas podwładnych — z wyjątkiem gdy dostał „nosa“ od wyższej władzy. Wtedy będąc przekonanym, że ów „nos“ był wcale niezasłużonym, nam go oddawał; my zaś, podrażnieni oczywistą niesprawiedliwością, zanosiliśmy go w kształcie złych humorów do domu.

Tu ów „nos“ p. naczelnika rozpraszał się na drobne cząsteczki w gronie domowników, a głównie skrupiał się na żonie za spóźniony obiad, lub na kucharce za przesolony rosół; ta zaś oddawała go kopnięciem nogą kręcącemu się po kuchni psu, który z piskiem wybiegał na ulicę i gryzł w łydki przechodniów.

Tak to w przyrodzie nic nie ginie... Jeszcze jedna okoliczność mogła pana naczelnika z równowagi wyprowadzić, a mianowicie, gdy siedząc między trzecią a czwartą popołudniu w swym fotelu przed biórkiem, „rozmyślał“ nad trudnemi sprawami służbowemi.

Siedział on wtedy oparty głową o tył fotelu, z oczyma zamkniętemi, w głębokiem zamyśleniu, a ciszę przerywało niekiedy głośne chrapanie, dochodzące nas dość wyraźnie z jego gabinetu.

Biada śmiałkowi, którzyby odważył się wejść wtedy do jego sanctuarium.

Około czwartej otwierały się drzwi od pokoju szefa, w których on, stając z rękami głęboko w inexprymable wpuszczonemi, wypowiadał sakramentalne słowa:

— No i cóż?

— No i nic, wszystko w porządku — brzmiała nasza wspólna odpowiedź.

— Kiedy tak, to dobrze — odpowiadał nasz szef i znikał znowu w swym pokoju.

Gdy palił cygaro, to był znak dobry. Jeżeli zaś chodził szybko tam i napowrót, to zbierały się chmury na pogodnem niebie. W tym wypadku wysyłaliśmy tam zwykle naszego woźnego w charakterze konduktora, mającego zadanie odprowadzenia nadmiaru elektryczności ku sobie.

Nigdy nie pomyliliśmy się w przeczuciu, gdyż wkrótce grzmiał głos szefa, np. za to, że za zimno w pokoju lub za ciepło w wodzie do picia, a najczęściej za odsuniętą od biurka spluwaczkę, którą służący, sprzątając, zawsze pod okno odsuwał.

Ze mnie był mój naczelnik dość zadowolony, załatwiałem bowiem „kawałki“ jak należy, t. j. jak stary, rutynowany urzędnik.

Każdy kawałek zaczynałem bowiem od słówka „odnośnie“ lub „w myśl“ a kończyłem go zawsze w jednym tylko zdaniu i to słówkiem „się“. Przytem starałem się, aby taki załatwiony akt dla zwykłego śmiertelnika jak najmniej był zrozumiałym.

Mój towarzysz biurowy p. Alfons, nie miał jeszcze tej rutyny co ja, a przytem spóźniał się często do biura, zwłaszcza w czas karnawałowy. Był przytem trochę poetą, i często potrzebował zaliczki na pensyę, zwłaszcza zaraz po pierwszym — wtedy bowiem, zdaje się, był najbiedniejszym. To wszystko aż nadto wystarczało, aby nasz szef był z niego mniej zadowolonym.

Na późne przychodzenie do bióra pana Alfonsa patrzył przez palce, wiedząc o tem, że młody człowiek baluje się i kocha, a do tego nadrabia po za godzinami urzędowemi, siedząc do późna w biurze.

Wierszy jednak, które pan Alfons produkował, a których on nie rozumiał, nie mógł mu przebaczyć.

Co więcej, raz nawet upominał go, aby niepotrzebnie niezapracowywał się; ile razy bowiem wracał z kawiarni między ósmą a dziewiątą, widział zawsze światło w oknie biura pana Alfonsa.

Raz zdarzyło się, że pan naczelnik wracając z teatru koło 11-tej wieczór, z największem zdumieniem zauważył, że pan Alfons jeszcze pracuje. Dobre z natury serce naszego szefa wzruszyło się.

— Muszę mu to wyperswadować — mówił do siebie. — Chłopak pracą zabija się, służba służbą, ale zdrowie zdrowiem, a co nadto, to nie zdrowo.

Mrucząc tak, zadzwonił do bramy.

Zaspany i trochę zaprószony stróż, otworzył bramę, i zobaczywszy naczelnika, oprzytomniał ze strachu, a gdy obaj stanęli przed drzwiami biura pana Alfonsa, pan naczelnik zapukał delikatnie.

Żadnej odpowiedzi.

Po krótkiej pauzie, zapukał powtórnie, głośniej, lecz równie bez skutku.

— Panie Alfonsie, otwórz pan, to ja! — wołał trzęsąc klamką. — Może zemdlał z przepracowania biedak, trzeba mu przyjść z pomocą.

— Proszę pana naczelnika, pan Alfons nie otworzy, bo go tam nie ma, ozwał się stróż nieśmiało.

— Cooo? — zawołał pan naczelnik — a kto ma klucz od drzwi?

— Ja — odrzekł stróż zmięszany.

— Otwórzcie — zabrzmiał rozkaz.

Michał otworzył, a p. naczelnik wszedłszy do środka, osłupiał ze zdumienia. Krzesło pana Alfonsa stało próżne, a na jego biurku figurowała blaszana miednica, w której dopalała się świeca. Obok leżał zaczęty poemat, poświęcony pannie Jadwidze, pod tytułem „Królowa srebrzystych gór“.

— A to co za iluminacya? Gdzie pan Alfons? Po co ta miednica? — wołał naczelnik i nagle uderzywszy się w czoło, krzyknął:

— To tak ten biedak wytęża się po nocach ze świecą w miednicy! Poczekaj paniczu! mnie starego brać na kawał — no no... A na co ta miednica?

— To dla „przespieczeństwa“ proszę wielmożnego pana naczelnika, aby świeca nie wywróciła się i pożar nie powstał: pan Alfons kazał co wieczór tak świecić, a rano wszystko sprzątnąć — i mówił, że to dla jego „onoru“ urzędnika jest potrzebne.

Pan naczelnik, schodząc po schodach, mruczał pod nosem: — Poczekaj paniczu, dam ja ci za honor urzędnika w miednicy.

Nazajutrz przyszedł pan Alfons, jak zwykle, dopiero koło 10tej, niewyspany po balu i natychmiast wysłaliśmy go do czekającego nań niecierpliwie naczelnika.

Szczęście całe dla niego, że gniewne kroki naczelnika już się uciszyły, a nawet dym z cygara wyraźnie nas dochodził. Ponieważ spluwaczkę jeszcze przed godzinami biurowemi sam własnoręcznie na swoje miejsce przesunąłem, więc sprawa cała nie przedstawiała się tak groźnie.

Za chwilę usłyszeliśmy słowa: — To tak, to honor urzędnika u pana w miednicy!... Później dochodził nas na odmianę raz podniesiony głos naczelnika, to znów serdeczny śmiech jego.

Wkrótce wyszedł z tej łaźni pan Alfons czerwony i jak mysz spocony.

Naprężony stosunek, jaki odtąd między nim a naczelnikiem zapanował, zmienił się później na lepszy, a to dzięki pewnej przysłudze, wyrządzonej przez pana Alfonsa swemu szefowi. Zdarzyło się bowiem pewnego popołudnia, podczas samotnej kontemplacyi pana naczelnika, między trzecią a czwartą godziną, że jakiś włóczęga wszedł do jego gabinetu drzwiami od korytarza i... ściągnął mu z nóg buty.

W chwili, gdy złodziej kończył operacyę drugiej nogi, naczelnik obudził się i krzyknął.

Złodziej zerwał się z ziemi i począł uciekać z butami naszego szefa.

Poszkodowany, oburzony taką bezczelnością, zapomniawszy o dekorum urzędniczem, gonił go boso aż na dół, przebiegł za nim jedną ulicę i drugą, aż wpadł w ramiona idącego właśnie do biura pana Alfonsa.

Ten, widząc swego szefa w takim stanie, a nie rozumiejąc o co chodzi, trzymał go silnie w objęciach i błagał, aby się uspokoił. Udało mu się to uskutecznić, poczem weszli obaj do najbliższej bramy, skąd za chwilę wyszli: pan Alfons boso, a jego szef w lakierkach pana Alfonsa.

Po powrocie obu do biura, rozmowa zeszła na ów niezwykły wypadek.

— Co za bezczelny rzezimieszek — mówił nasz naczelnik — żeby mnie tak oporządzić... nic podobnego mi się w życiu jeszcze nie przytrafiło!.... Najprawdopodobniej musiałem się zdrzemnąć na chwilę, z czego on skorzystał. Całe szczęście, że mam sen tak czujny, bo gdyby nie ta okoliczność, mógłby dalej się posunąć i resztę garderoby ściągnąć. Jakbym ja wtedy wyglądał, goniąc go na ulicy; czyżby policya raczej mnie, poszkodowanego, zamiast złodzieja nie schwytała?

Po wspólnej naradzie udałem się z panem Alfonsem do Redakcyi *Prawdy*, aby całej tej niemiłej sprawie i ewentualnym plotkom łeb ukręcić.

Zastaliśmy czcigodnego Redaktora wśród chmury motyli, krążących nad jego głową, które, jako tak wczesne zwiastuny wiosny, każdy z prenumeratorów przesyłał, jako curiosum Redakcyi.

Zacny p. Redaktor przywitał nas uprzejmie, wysłuchał całej historyi o butach naczelnika, i przyjął łaskawie prośbę, by w *Prawdzie* żadnej wzmianki o tem nie dopuszczał, a powstałym stąd plotkom kategorycznie zaprzeczył. Czcigodny Redaktor obiecał to spełnić i wypytywał z ciekawością o najdrobniejsze szczegóły, jak np. z jakiej skóry były owe buty zrobione, kto je robił, i czy nie były za ciasne i t. p.

Na drugi dzień przedstawiła *Prawda* prawdziwy stan rzeczy, opisując ów wypadek z najdrobniejszemi szczegółami.

W kilka dni później pan Alfons kłamał na podstawie paragrafu 19-go, donosząc Redakcyi o „prawdziwym stanie rzeczy“, mianowicie, że ów wypadek nie jego szefa, lecz jego samego dotyczył, gdyż właśnie on sam skutkiem nagniotków karnawałowych, zdjął na chwilę ciasne trzewiki, a jakiś włóczęga zabrał mu je niespostrzeżenie.

Skutkiem tego poświęcenia się, powrócił mój kolega w zupełności do łaski swego szefa i mógł brać dalej zaliczki.

W rok później pan Alfons przeszedł z awansem do Prezydyum, gdzie stał się pilnym i tęgim urzędnikiem.

Jak zawsze każdy swój kawałek zaczyna od słówka „odnośnie“ lub „w myśl“, a kończy słówkiem „się“; pisze srebrzyste i krwawe wiersze; należy do wszystkich komitetów balowych i związanych z nimi spraw honorowych, kończących się wystrzałami bateryi szampana.

Tak więc, literalnie buty szefa postawiły pana Alfonsa na nogi i stały się podstawą dalszej jego karyery.

Jan Korwin.

ków na poczcie do obsługiwania publiczności, tak, że przychodzący na poczcie nadać list polecony lub przekaz pieniężny, trzeba czekać pół godziny lub dłużej jeszcze. Za granicą wszędzie utrzymuje zarząd pocztowy specyalne kioski do sprzedaży znaczków pocztowych, wprowadza skrzynki na listy rekomendowane i stara się wogóle o udogodnienia dla publiczności. Austryackie poczty o publiczność nie dbają. — Potem p. Ułanowski wniósł o wyrażenie uznania dla Wydziału związku (uchwalono przez aklamacyę), a p. Zacharyewicz wskazał na to, że Związek rozporządza tak szczupłymi funduszami, iż jeśli nie pomyśli się o zapewnieniu mu odpowiednich środków materyalnych, to nie będzie on mógł spełnić zadań swoich. — P. Kępelusz (z Brodów) domagał się połączenia galicyjskich sieci telefonicznych z telefonami w Królestwie Polskiem; a p. Maryewski wskazał na fatalne skutki braku wagonów na kolejach, oraz wyraził zapatrywanie, że z powodu podwyższenia opłat telefonicznych, zapewne wiele osób zaniecha używania telefonów. — P. Makusz podniósł, że w kraju naszym nie ma rzeczywistego zainteresowania się sprawą przemysłu; są tylko chwilowe zapały, które rychło ostygają. Związek fabrykantów powinien starać się wytworzyć w publiczności trwałe i prawdziwe zainteresowanie się przemysłem. — Ks. Paweł Sapieha domagał się, ażeby ze względu na zbliżające się wybory uczynić ton zaproponowanej przez dra Bindera rezolucyi znacznie ostrzejszym, aniżeli on jest w redakcyi wnioskodawcy. Radzca pocztowy p. Łaski bronił zarządu poczt, a dyrektor kolei p. Rybicki zawiadomił zebranych, iż zarząd kolei zamówił już znaczną liczbę wagonów, które będą gotowe jeszcze w bieżącym roku, co do braku węgla ubiegłej zimy, to p. Rybicki podniósł, że przyczyną jego w części bardzo tylko małej był brak wagonów, główną przyczyną były bardzo małe zapasy węgla w kopalniach.

Po ukończeniu tej dyskusyi przyjęto rezolucyę dra Bindera, oraz wnioski o absolutoryum dla Wydziału *en bloc*. Potem przyjęto zamknięcie rachunków Związku za rok administracyjny 1905/6, a z kolei także budżet wydatków na rok 1906/7 w sumie 47.068 koron, na którego pokrycie uchwalono podwyższyć w bieżącym roku wkładki członków o 30%. Budżet ten składa się z następujących pozycyi: płaca dyrektora 12.000 koron, płace urzędników 14.760 kor., koszta ekspozytury w Krakowie 2760 kor., w Wiedniu 800, dawny niedobór 2.100 kor., reszta przypada na rozmaite wydatki. Następnie dokonano wyborów wydziału i komisyi rewizyjnej. Wybrano prezesem ks. A. Lubomirskiego, wiceprezesami pp. Leopolda Baczewskiego i Götza-Okocimskiego, członkami wydziału pp. Benisa, Eminowicza, Epsteina, Feldsteina, Franckla, Gurgula, Hoffmana, Kolischera, Adolfa Liliena, Rittla, Ruckera, Wilhelma Schmidta, Stesłowicza i Zieleniewskiego; do komisyi rewizyjnej pp. Lankosza, Wiśniewskiego i Zacharyewicza. Nastąpiły obrady poufne, po których ukończeniu, zamknięto zgromadzenie.

List do Redakcyi.

(W sprawie uniwersyteckiej).

P. profesor poseł Głąbiński proponuje w wiedeńskim dzienniku *Zeit*, by „osobny" uniwersytet „ruski" założono w jednej z „ruskich miejscowości" Galicyi. P. profesor wyraża się wobec niemieckich czytelników bardzo ostrożnie (in einem ruthenischen Orte), ale ponieważ trudno, aby miał wieś na myśli, trzeba też pomyśleć, jakie to jego rodzaju wyrażenie w jego ustach było marną fintą polityczną, więc jest rzeczą ciekawą, jaką to miejscowość ruską miał na myśli, czy już istniejącą, czy taką, która dopiero ma powstać? Równocześnie „*Słowo polskie*" proponuje Kołomyję jako siedzibę „osobnego" ruskiego uniwersytetu. (*Goniec* nawet — Pacanów). A więc chyba Kołomyja jest tem miastem ruskiem? Byłoby to w ustach bezwzględnego wszechpolskiego rzeczą nową i ciekawą. Zobaczymy, dokąd jeszcze zaprowadzą nas tego rodzaju kombinacye. Przytem i *Słowo* i prof. Głąbiński, zdaje się, zapominają, że podczas gdy w obecnym uniwersytecie we Lwowie wobec przy największym uwzględnieniu języka polskiego (możnaby to ustawowo zabezpieczyć), a ruskie katedry chyba bardzo niewiele wpłynęłyby na narodowy polski charakter Lwowa, to „osobny" ruski uniwersytet byłby pierwszą rządową instytucyą w kraju, używającą wyłącznie chyba języka ruskiego.

Taki ruski uniwersytet nadałby i swojej siedzibie szybko wybitnie ruski charakter i stałby się trwałem środowiskiem zupełnie „wyodrębnionej" ruskości, agitacyi, a może i wszechruskości na modłę *Słowa*. Być może, że byłoby to dobre. Oczywiście trzebaby przenieść do tego nowego środowiska całe ruskie seminaryum duchowne ze Lwowa (??). Prof. Głąbiński proponuje już teraz „oddzielenie" (!) wydziału teologicznego i kreowanie (!!) kilku nowych katedr... chyba że we Lwowie?! Więc o cóż właściwie chodzi, po cóż tyle hałasu? Przecież zrazu o kilka katedr chodziło, a na „oddzielenie" było i jest czasu dosyć. Trzeba to wszystko było przedtem powiedzieć. Przecież profesor Głąbiński nie czekał chyba na ruskie demonstracye?! A byłaby to arcyciekawa spółka dla wyborców!

Ale niemniej przykrem jest i położenie Rusinów. Mogli pracować i pracowali spokojnie i z pięknym skutkiem w uniwersytecie wprawdzie polskim, ale takim, gdzie mogli uzyskać coraz to nowe katedry, a z czasem i formalny „rozdział". Obecnie zaś narazili się chyba na tego rodzaju propozycye, jak dziwaczny uniwersytet „kadłub" (tak się wyraża *Słowo Polskie*) w Kołomyi. Nie było wszak potrzeba tych „demonstracyj" przeciw x. prof. Fijałkowi: zasłaniali się prowokacyą, ale zamiast dochodzić tej prowokacyi spokojnie, rzeczowo, sprawę należycie i stanowczo wyjaśnić, dostali dosadną reprymendę od senatu, „secesyonowali" i — wrócili z niczem, jeżeli nie ze stratą. Skorzystali coś trochę chyba ci, którzy dla uczenia się za granicami kraju czerpali ze złożonego przez ruskie społeczeństwo funduszu „secesyjnego" (stokilkadziesiąt tysięcy koron); o fundusz ten toczyły się zawzięte i niewyjaśnione spory.

Już to wszystkie te ruskie uniwersyteckie „demonstracye" wymagałyby trochę baczniejszej i ściślejszej kontroli ze strony ogółu; z okazyi owej „secesyi" zaznaczyła swojego czasu wyraźnie *Bukowyna* (w artykule pod tytułem: „Dezorganizacya, czy coś gorszego?!"), i to na podstawie informacyi poselskich, że cała ta secesya została rozmyślnie przyśpieszona, chociaż cała sprawa była już na najlepszej drodze ku pomyślnemu załatwieniu, że młodzież została rozmyślnie źle poinformowaną, że jej niezawiadomiono o przychylnej interwencyi ministerstwa, że przedstawiono jej, aby żądała — albo „wszystko", albo „nic" — i sforsowano czemprędzej uchwałę secesyi. Sprawa ta tak zupełnie jeszcze zadawnioną nie jest, a pp. Szuchewicz, Starosolski, Cegielski, posłowie Romańczuk, Barwiński, Pihulak, którzy w tej sprawie brali wówczas żywy udział, powinniby koniecznie tę całą rzecz szczegółowo i wyczerpująco wyjaśnić. Dość nam lekkomyślnych — a krwawych — pomysłów, „politycznych" i „patryotycznych" konszachtów, a może — i czegoś gorszego.

Rusin.

Piękno w naturze i sztuce.

Temat to tak obszerny, że dałby się ująć i wyczerpać zaledwie w kilkutomowem dziele, albo dłuższej seryi wykładów, nie mógł go więc wyczerpać p. profesor Raciborski w onegdajszym odczycie, wygłoszonym w Związku naukowo-literackim, dlategoteż prelegent zacieśnił go do kwestyi stosunku piękna w naturze do piękna w sztuce.

Lecz i tak zacieśniony temat nasuwa jeszcze cały szereg kwestyi filozoficznych, których niepodobna było wyjaśnić w półtoragodzinnym odczycie. Chcąc bowiem mówić o pięknie, trzeba sięgnąć do podstaw sądów estetycznych, do definicyi piękna, a ta jest — jak wiadomo — bardzo trudna. Banalny, codzienny frazes określa ideał piękna tak: Piękne jest to, co się nam podoba. Frazes ten ujęła filozofia w lepszą formę, nazywając ideałem piękna — nasze podmiotowe upodobanie. Czyż więc nie ma w naturze samej jakichś niezmiennych, przedmiotowych praw piękna?

Zdaje się, że istnieją, lecz ukrywają się w pierwiastkach bytu tak, jak się ukrywa przed badaczem natury granica między światem mineralnym i organicznym. Trudno ich dociec, a drogi, prowadzące do tych praw, wiodą po manowcach podmiotowych upodobań. Pojęcie piękna wiąże się ściśle z pojęciem dobra, to zaś zespala się nierozłącznie z pojęciem życia, a zatem upodobania nasze popadają w zależność od objawów naszej woli, czyli krótko, pojęcia: piękno i dobro zabarwiają się w naszych zapatrywaniach odcieniami naszych życzeń i mówimy, że pięknem jest to, czego sobie życzymy, albo to, co nam korzyść przynosi.

Rozumie się, że takie czysto podmiotowe pojmowanie ideału piękna nie jest racyonalne, atoli tkwi w niem czynnik, z którym filozofia musi się liczyć. Drogą pozytywizmu dojdziemy do wniosku, że pojęcie piękna zrodziło się z pożądania wrażeń zmysłowych, z pragnienia urozmaicenia, gdyż rozmaitość bawi zmysły. A ponieważ rozmaitość tem jest większa, im większy kontrast, więc piękno polega na szukaniu i zestawianiu kontrastów.

Inni znowu twierdzą, że pięknem jest to, do czego jesteśmy przyzwyczajeni, a więc przeciętna forma, czyli typ jakiegoś zjawiska.

We wszystkich tych próbach zdefiniowania ideału piękna zawiera się pewna doza prawdy; razem wzięte, zakreślają one ogólne granice piękna, wskazując badaczowi, że na tej lub owej drodze nie znajdzie już bliższego wyjaśnienia. I rzeczywiście nikt też do dzisiaj nie zdołał określić pojęcia piękna tak wszechstronnie, żeby jego definicya wytrzymała wszystkie zarzuty. Najszczęśliwiej uczynił to Spencer w zdaniu: „Podoba się nam widok siły, opanowującej bezwładność materyi", a zatem lekkość ruchów, regularne formy, siła woli i t. p. W dziedzinie malarstwa, rzeźby, architektury, a nawet i w literaturze pięknej definicya Spencera dosyć wystarcza, nie wyjaśnia jednak ona piękna wrażeń słuchowych, czyli muzyki.

Skoro nie znaleziono dotąd absolutnej definicyi piękna ani dla zjawisk w naturze, ani dla sztuki twórczej, więc, pomijając upodobania osobiste, wychodzące poza obręb pojęć utartych, nawet w panującym ogólnie smaku objawia się charakter rasy, epoki i po różne czasy panują rozmaite hasła.

Jeżeli dla przykładu weźmiemy pod uwagę estetyczny kanon kształtów ciała ludzkiego, to zobaczymy, że inaczej pojmowali piękno starożytni Egipcyanie, inaczej Grecy, rafaeliści, realiści i impressyoniści. Raz panuje hasło dążenia do ideału, to znowu przeważa realizm i jego przesadna forma, zwana naturalizmem; w nowszych czasach rozbudziło się hasło indywidualizmu, czyli niekrępowania swobody twórczej żadnem prawem, krytyka zaś nowoczesna wykryła w dziedzinie sztuki jeszcze jeden bardzo ciekawy czynnik, mianowicie schlebianie publiczności dla efektu lub materyalnego zysku. A przecież poprzez te wszystkie zapatrywania i hasła wije się, jakby złota nić, nieokreślony, a mimo to w przeczuciu naszem doprawdy istniejący ideał piękna.

Zrozumie to, kto sobie przypomni, jak wygląda tarcza, służąca za cel przy popisach strzeleckich. Wszyscy mierzą w jeden środkowy punkt, nikt nie zdoła tego matematycznego punktu trafić, a przecież wystarczy spojrzeć na odwrotną stronę podziurawionej tarczy, aby się przekonać, że chybione strzały grupują się systematycznie koło idealnego środka, i że on tam się znajduje, gdzie nikt nie trafił.

To porównanie wyjaśnia dosadnie, aczkolwiek obrazowo, dociekania badaczy piękna i ich mylne zapatrywania. Gdzież jednak szukać należy prawdy? Czy w naturze, tak ułomnej, tak często wstrętnej, że właśnie ci naturaliści, którzy ją naśladują niewolniczo, najbrzydsze dzieła potworzyli? Czy też w negacyi natury, w symbolistyce, która, odbiegając od wzorów w naturze, popada w karykaturę przeciwieństwa?

Zadowalającą odpowiedź na te pytania daje nam powyższe porównanie z tarczą. Prawda leży pośrodku. Przyroda wytwarza zjawiska i piękne i brzydkie. Gdyby tak nie było, nie istniałoby pojęcie piękna, lecz mówiłoby się tylko: naturalne i nienaturalne.

Żaden obraz nie stworzy takiej gry barw, jak zorza północna; żadna budowla nie będzie miała harmonii linijnej mineralnego kryształu; żadna symfonia nie dorówna harmonii oddźwięków polnych w południe świętojańskie; więc przyroda daje nam rzeczywiście wzory niedoścignione. Lecz przyroda ukrywa piękno przed naszymi zmysłami, bo gdybyśmy przywykli napawać się pięknem ustawicznie, to stępiłaby się nasza wrażliwość, a tem samem brakłoby nam podniety do życia wtedy, gdy nas ogarnia pesymizm. W konsekwencyi tego zapatrywania piękno musi być zjawiskiem rzadkiem, tak, aby odkrycie jego w przyrodzie lub odtworzenie w sztuce wywołało wrażenie na nasz umysł i podniecało pamięć.

Z powodu spóźnionej pory nie mógł prelegent zaokrąglić swoich wywodów i podać jasno określonej tezy; nie było też czasu na dyskusyę, która wobec tego zajmującego tematu niezawodnie byłaby bardzo ożywioną. Publiczność wypełniła szczelnie salę i słuchała z wielkiem zajęciem.

S E J M.

Lwów, 18 marca.

(21 posiedzenie, III sesyi, VIII peryodu).

(Dokończenie).

W onegdajszem przemówieniu swojem w dyskusyi generalnej nad budżetem p. x. Pastor wzywał na wstępie do zgody polsko-ruskiej, wykazując, iż w walce dwóch wspólnie ziemię ze sobą dzielących narodowości nie powinno być ani zwycięzcy, ani zwyciężonego. Zamiast więc chwilę pokoju opóźniać, lepiej jest co rychlej zawiesić broń, a zgoda dwóch bratnich narodów obydwom wyjdzie na dobre. Mówca gorąco zaapelował do ruskiego duchowieństwa, ażeby ono po myśli zasad chrześcijańskich przyjęło na siebie apostolstwo zgody. Na apel ten odpowiedziano z ław ruskich ironicznemi uwagami. Z kolei począł x. Pastor omawiać stanowisko ludowców. Ta część jego przemówienia odrazu zmieniła się we wcale niesympatyczny dyalog między mówcą i p. Stapińskim. Mówca podniósł, że p. Stapiński w dyskusyi budżetowej uderzył w ton elegijny i oświadczył się za solidarnością narodową. Jednak, zdaniem mówcy, rozwiać należy złudzenia co do tej przemiany p. Stapińskiego. Dzisiaj mówi on tak, jutro na zgromadzeniu ludowem powie zgoła co innego. Ale jeżeli p. Stapiński naprawdę się zmienił, to niech oświadczy, że on i jego stronnicy bez żadnych zastrzeżeń wstąpią do Koła polskiego...

— Wstąpimy pod warunkami, któreśmy określili — odpowiada p. Stapiński.

— Kto w obecnych stosunkach nie wstąpi bez żadnych zastrzeżeń do Koła polskiego — kończy x. Pastor — kto usuwa się od solidarności Koła w chwili, gdy konsolidują się wszystkie stronnictwa, ten popełni zbrodnię narodową!

Na tem zamknięto dyskusyę generalną i wybrano mówców generalnych: *contra* p. Mogilnickiego, *pro* p. dra Kozłowskiego.

P. Mogilnicki szeroko omawiał ostatnie zajścia na uniwersytecie i krytykował zachowanie się niektórych profesorów i młodzieży „wszechpolskiej". Zdaniem mówcy, Rusinów zmusiło do ekscesów prowokujące zachowanie się tej młodzieży i popieranie jej stanowiska przez niektórych profesorów. Następnie przeszedł mówca do stosunku Rusinów do żydów i wyraził zapatrywanie, że żydzi powinni we wschodniej części iść przy wyborach ręka w rękę z Rusinami. Jeżeli tego nie uczynią, to — jak już zapowiadali inni mówcy ruscy — znajdą Rusini odpowiednią dla nich odpowiedź. — Na tem odroczono posiedzenie do godziny 7-ej wieczorem.

* * *

(Posiedzenie wieczorne).

Po otwarciu posiedzenia wieczornego głos zabrał p. dr. Kozłowski. Powołał się on na ateńskie prawo, które nakazywało każdemu obywatelowi brać udział w życiu publicznem i bez żadnych względów otwarcie wypowiadać swoje zapatrywania, i rozpoczął polemikę ze wszystkimi mówcami dyskusyi budżetowej, a przedewszystkiem z generalnym referentem, mianowicie o sposób pokrycia niedoboru budżetowego. P. dr. Kozłowski zasadniczo sprzeciwia się pokrywaniu niedoboru pożyczką, a domaga się pokrycia go podwyższonymi dodatkami do podatków. Z kolei przeszedł do polemiki z posłami ruskimi. Prawdą jest, że Polacy organizują się we wschodniej części kraju, lecz bynajmniej nie w celach wrogich wobec Rusinów, lecz zmuszeni do tego groźną postawą Rusinów. Niesmacznem jest porównanie p. Mogilnickiego, który ekscesy ruskie na uniwersytecie zestawił z polskiemi powstaniami. Stanowisko posłów ruskich wobec tych zajść jest niejasne, a w każdym razie nieobjektywne. Wystąpienia posłów ruskich są w najwyższym stopniu drażniące. A rozdrażnienie to szerzą ruscy politycy nietylko w Sejmie, ale w całym wschodnim kraju. Rozpuszczane między lud wieści o podziale gruntów są przecież czemś przekraczającem granice uczciwej agitacyi. Mówca wskazuje na nasze historyczne prawa do tego kraju i omawia następnie agitacyę, mającą na celu wyprzeć nas stąd. W agitacyi tej udział biorą ci, którym nienawiści szerzyć nie wolno, tj. xięża ruscy. Jakkolwiek szanuję duchowieństwo — powiada p. Kozłowski — to jednak stwierdzić muszę, że ruscy xięża nieraz nadużywają nawet konfesyonału...

— To kalumnia! — woła x. Bohaczewski.

— Mam na to dowody — odpowiada p. Kozłowski.

— Nieprawda, to kalumnia! — powtarza x. Bohaczewski.

Następnie omawiał p. Kozłowski stanowisko Rusinów w Wiedniu i wykazał nicość tych groźb ruskich, które nam każą obawiać się zemsty Rusinów pod panowaniem rosyjskiem. W końcu mówca wyraził żal, że x. Pastor rozwiał nadzieje na temat oświadczenia p. Stapińskiego.

Nastąpił wywód generalnego referenta p. Milewskiego.

Nie był to zwykły wywód referenta, który reasumuje przeprowadzoną dyskusyę, ażeby zaznaczyć zapatrywanie komisyi na stanowisko każdego z mówców, ale była to świetna mowa polityczna w głębokie myśli najbogatsza, stylowo najpiękniejsza ze wszystkich mów wygłoszonych w Sejmie w obecnej sesyi.

P. Milewski podniósł na wstępie, że sama działalność ustaw jest dla utrzymania równowagi i dla rozwoju społeczeństwa niedostateczną, jeśli nie wspiera jej świadome celu dążenie całego społeczeństwa do rozwiązania tkwiących w niem kwestyi czasu. A są trzy ogromnie doniosłe kwestye, które stoją na porządku dziennym w naszym kraju i koniecznie wymagają rozwiązania; oto: kwestya robotnicza, kwestya ruska i kwestya żydowska.

Komunikacya nowoczesna wytworzyła międzynarodowy rynek pracy, który ceny pracy w naszym kraju wystawia na bezpośrednią konkurencyę tych cen zagranicą. Możność dobrego opłacania robotnika zależy od tego, jakie pole pracy mu dajemy i jakie narzędzie do pracy. Np. kto sadzi kartofle na niedrenowanem polu i tak uprawionem, że plon wynosi jakieś 14 czy 15 centnarów z morga, ten opłacać nie może robotnika, jak go opłaca ten, który ma pole drenowane i najlepsze narzędzia pracy i zbiera plon 40 do 50 centnarów. Ponieważ zagranicą doprowadzono do szczytu racyonalność gospodarki, a zatem i możność drogiego opłacania pracy, tedy jeśli nie chcemy, ażeby mimo woli naszej kraj nasz opustoszał z rąk do pracy, to musimy postarać się o lepsze pole pracy, niż je mamy, i o lepsze narzędzia.

W kwestyi ruskiej przedewszyskiem usunąć należy dziwną podejrzliwość, która przeważnie dyktuje stojącym naprzeciw siebie stronom ich stanowiska. Jest to anormalne i nienaturalne, że ustawa jakaś, jak np. ustawa o języku urzędowym władz autonomicznych, której postanowienia były zupełnie bezstronne, wywołała protesty i obawy nie ze względu na jej postanowienia, ale ze względu na jej możliwe tendencyjne wykonywanie, jakkolwiek nie ma danych do słusznego twierdzenia, że ono będzie rzeczywiście tendencyjne. Dzisiaj w polityce jedynie decydującą może być owa wielka maksyma angielska: „Ustawy niech nami rządzą, a nie ludzie!" Jeśli jej nie uznamy, jeśli ufać nie będziemy ustawom, to dojdziemy do najgorszych rezultatów w polityce. Wtedy naprawdę marzycielską utopią okażą się słowa poety: „Czyż naszych zwad kąkolu nie zdoła wyrwać prawda i przyjaźń?!" A niech pamiętają zarówno Rusini jak i Polacy, że źle będzie, gdy wzajemne sprawy nasze przyjdzie porządkować ręką trzecią, nie naszą i nie waszą, ni nam, ni wam życzliwą.

W kwestyi żydowskiej, którą tak świetnie przedstawił p. dr. Loewenstein, niech decydującem będzie dla nas, że *res sacra miser*. Można się z p. Loewensteinem nie zgadzać w szczegółach, lecz uznać się musi jego zasadnicze stanowisko; dlatego pomimo zastrzeżeń, jakie poczynić należy, referent imieniem komisyi akceptuje jego rezolucyę, a tylko sprostować chce niektóre jego wywody. Idei kollektywizmu narodowego nie można uważać za równoznaczną z agresywnością. Poczucie swojej indywidualności narodowej nie musi zarazem wywoływać antagonizmów. Jeśli sklep nazywa się „Narodną Torhowlą", to nie jest to nic więcej, jak objektywne stwierdzenie faktu, iż jest to sklep ruski. Idea kollektywizmu jest etycznie wyższą od idei indywidualizmu; prowadzi ona od indywidualizmu i egoizmu, przez ewolucyę uczuć etycznych do poczucia pewnej wielkiej indywidualności zbiorowej, jako wyższego typu etycznego. Nowy, potężny strumień postępu wiele i wiele rodzin, nietylko żydowskich, pozbawił środków egzystencyi. Idea usunięcia przedziału pomiędzy konsumentem a producentem wytwarza proces, który eliminuje wiele jednostek pośredniczących jako czynniki niepotrzebne. Dla nich jest to wprawdzie straszne, lecz nie może to wstrzymać tego procesu dziejowego.

Z kolei referent omawiał konieczność uprzemysłowienia kraju; społeczne i ekonomiczne znaczenie tej sprawy. Następnie wskazując na niebywałe rozmiary parcelacyi i nader szybki rozwój nauk przyrodniczych, podniósł, że nadmiernie rozszerzają się i mnożą zadania administracyi agrarnej, a przedewszystkiem piekącem jej zadaniem jest ułatwienie bezpośredniego wpływu nauki na praktykę gospodarską. Produkcya rolnicza odgrywa decydującą rolę w bilansach krajów nawskróś przemysłowych, a tem większą rolę w naszym kraju rolniczym. Dotąd w naszym kraju był dwór ostoją wielkiej produkcyi rolnej. Gdy dwory znikać zaczynają, to pamiętać o tem należy, że znika z nimi wraz nietylko ognisko tej produkcyi, ale zróżniczkowanie społeczeństwa, a wychyla się widmo zabójczej jednostajności społeczeństwa. Dlatego w celach przeciwwagi starać się musimy o wzmocnienie i podniesienie miast jako silnych i wybitnych czynników społecznych i ekonomicznych, a uczynić to możemy tylko przez uprzemysłowienie kraju.

W końcu w sprawie sejmowej reformy wyborczego prawa zaakcentować należy, że (w przeciwieństwie do tendencyj jakie się niejednokrotnie objawiały przy sposobności reformy wyborczej Rady państwa) decydującemi winny być interesy ogólno krajowe, ponad interesami o szczuplejszym zakresie znaczenia. Ostrożnym być trzeba, bo praktyka życia politycznego (np. we Francyi) wykazała, iż demokratyzacya prawa wyborczego często doprowadza do tego, że polityka idzie odmiennemi drogami, niż te, po których kroczą ludzie reprezentujący najwyższą kulturę polityczną. A my musimy pamiętać jeszcze i o tem, że stosunki nasze są niezwykłe; nie możemy mieć przez państwo ulegalizowanej polityki narodowej, a jednak mieć musimy swoją politykę narodową. Tem większy cięży na nas obowiązek ofiar. Wraz z demokratyzacyą praw politycznych, zdemokratyzowałyby się i polityczne obowiązki; niechaj więc dla nas wszystkich hasłem będą piękne słowa Szujskiego: „W codzienny trud kłaść nam należy to poświęcenie, cośmy je w entuzyazmu chwili przynieśli jako całopalenie z siebie..."

Wspaniałej tej mowy wysłuchali posłowie stojąc dookoła trybuny referenta w ogromnem skupieniu. Długotrwałe, głośne oklaski odezwały się, gdy p. Milewski zakończył swe przemówienie tem szczytnem wezwaniem.

Przystąpiono do „sprostowań". Zabierali głos pp. Kramarczyk, Stapiński i x. Stojałowski. Po tych przemówieniach powstał p. marszałek i przemówił mniej więcej w te słowa:

— Poseł Bohaczewski przyszedł i żalił się, że nie przywołałem do porządku dziennego posła Kozłowskiego za to, że obraził duchowieństwo ruskie. W rzeczywistości, podczas przemówienia posła Kozłowskiego słyszałem trzy razy obelżywy okrzyk „kalumnia!" padający z ust xiędza Bohaczewskiego przeciwko posłowi Kozłowskiemu. Obecnie mając w ręku stenogram, stwierdzam, że poseł Kozłowski nie powiedział nic innego, jak tylko: „Muszę podnieść, że nie potępiam całego duchowieństwa ruskiego. Mam, co więcej, dla niego szacunek. Ale z bólem patrzałem na to, że zdarzyły się nawet wypadki nadużycia konfesyonału". Wobec tego nie mogłem zatem powoływać do porządku posła Kozłowskiego, który wypowiedział tylko znany mu fakt, a musiałem natomiast wezwać posła xiędza Bohaczewskiego do zaprzestania obelżywych wyrażeń. Tak też będę naturalnie postępował na przyszłość". Izba przyjęła to oświadczenie pana marszałka hucznymi oklaskami.

Rozpoczęto dyskusyę szczegółową. Przyjęto rubrykę I wydatków „reprezentacya kraju" z referatu p. Skałkowskiego w sumie 156.672 K. i z referatu tego samego posła rubrykę drugą „zarząd" w sumie wydatków 1,638.977 koron i w sumie dochodów 179.320 koron.

Na tem o godzinie 12 o północy zakończyło się posiedzenie.

Lwów 18 marca.

(22 posiedzenie, III sesyi, VIII peryodu).

Na dzisiejszem posiedzeniu Izba uchwaliła z referatu członka Wydziału krajowego p. Wereszczyńskiego zezwolić gminie Leżajsk na podwyższenie opłat gminnych od wódki, piwa i miodu. Następnie na wniosek komisyi wodnej polecono Wydziałowi krajowemu zbadać szkody, zrządzone przez potoki górskie w Posadzie olchowskiej i w Podgórzu pod Sanokiem. Potem p. Laskowski, jako referent komisyi budżetowej, zdał relacyę o przekazanej tej komisyi w piątek sprawie pożyczki miasta Krakowa w kwocie 23,600.000 koron. Po myśli wniosków komisyi Sejm udzielił gwarancyi kraju tej pożyczce, oraz polecił Wydziałowi krajowemu, ażeby postarał się o prawo pupilarnego bezpieczeństwa dla obligów tej pożyczki. Z referatu p. Leo zezwolił Sejm bankowi krajowemu na udzielenie miastu naszemu 10.000.000 koron pożyczki w 4% obligacyach kolejowych na rozszerzenie sieci tramwaju elektrycznego; za spłatę 114 półrocznych rat tej pożyczki przyjął Sejm imieniem kraju gwarancyę.

Dokonano uzupełniającego wyboru (z całego Sejmu) zastępcy członka Wydziału krajowego w miejsce p. Sękowskiego, który tę godność złożył. Wybrano p. Mieczysława Urbańskiego. Po przekazaniu Wydziałowi krajowemu do zbadania petycyi gminy Dynowa o przyznanie jej prawa rządzenia się ustawą gminną z r. 1896 — przystąpiono do dalszego ciągu szczegółowej dyskusyi budżetowej.

Uchwalono rubrykę III „sprawy zdrowotne" z referatu p. Jabłońskiego w sumie wydatków 5,663.279 koron, a dochodów 2,205.108 koron. W rubryce tej przyjęto stanowiące osobne referaty pozycye: „krajowy szpital powszechny we Lwowie" (ref. dr. Loewenstein) w sumie wydatków 909.532 kor., a dochodów 800.665 koron, dalej „krajowy zakład dla obłąkanych w Kulparkowie" (ref. p. Laskowski) w sumie wydatków 716.953 kor., zaś dochodów 671.201 kor., „krajowy szpital im. św. Łazarza w Krakowie" (ref. dr. Mars) w sumie wydatków 661.394 koron, a dochodów 575.122 kor. Wszystkie te pozycye przyjęto po myśli wniosków komisyi budżetowej. Zgłoszony do pozycyi 24 i 25 wniosek p. Wursta o podwyższenie subwencyi dla lwowskiego i krakowskiego Towarzystwa ratunkowego z preliminowanych kwot po 600 koron, na 1.500 kor. dla jednego i 1.500 koron dla drugiego Towarzystwa — upadł.

Z referatu p. Niezabitowskiego Izba uchwaliła rubrykę IV. „dobroczynność" w sumie wydatków 96.453 koron (dochodów ta rubryka niema). Rubrykę tę przyjęto w kwocie o 600 koron wyższej od propozycyi komisyi, a to dlatego, że Sejm uwzględnił poprawki pp. Maryewskiego i x. Wesolińskiego i podwyższył subwencyę dla zakładu opuszczonych dzieci p. Żurowskiej w Krakowie z 400 koron na 700 koron i subwencyę dla przytuliska biednych sierót im. św. Józefa we Lwowie również z 400 kor. na 700 koron. Liczne inne poprawki zgłoszone do rozmaitych innych subwencyi upadły.

Przystąpiono do rubryki V-ej „oświata i sztuka". Pierwsze dwa działy tej rubryki „Akademia umiejętności i Rada szkolna krajowa", oraz „Wydatki na publiczne szkoły ludowe" preliminowane pierwszy na 114.500 koron wydatków, drugi w sumie zwyczajnych i nadzwyczajnych wydatków bez podwyższenia płac nauczycielskich na 15,331.968 koron, referował p. dr. Kozłowski. Do tej rubryki głos zabrał p. x. Bohaczewski; w ogromnie długiem przemówieniu opowiadał o rozmaitych rzekomych nadużyciach inspektorów Polaków, którzy prześladują nauczycieli Rusinów. Te same „fakta" raz już opowiadał x. Bohaczewski w dyskusyi nad ustawą o seminaryach nauczycielskich. Wówczas reprezentant krajowej Rady szkolnej na podstawie urzędowych danych stanowczo oświadczył, że „fakta" te są zgoła nieprawdziwe. To zaprzeczenie nazwał x. Bohaczewski gołosłownem, a zatem bardzo niewłaściwem i obszernie starał się udowodnić, że opowiadania jego o nadużyciach inspektorów Polaków polegają na pewnych informacyach. Potem zarzucał Polakom, że systematycznie prowokują Rusinów. Wreszcie w tonie bardzo ostrym polemizował z onegdajszem przemówieniem p. Kozłowskiego, a w końcu odczytał ustęp z artykułu umieszczonego w jakiejś prowincyonalnej gazetce, a napisanego przez jakiegoś nauczyciela ludowego. Autor tego artykułu nazwał Rusinów „mało oświeconymi" i ostrzegał przeciw ich apetytom. Naiwny ten artykulik dał x. Bohaczewskiemu pochop do wniosku, że Polacy gardzą Rusinami i nienawidzą ich, odmawiają im prawa egzystencyi i t. d. — Od godziny pół do 12 w południe do 1 popołudniu mówił x. Bohaczewski.

Odpowiedział mu p. Tarnawski. Podniósł on, że zauważył to już od lat kilku, iż X. Bohaczewski przytacza w mowach swoich „fakta", nazwiska, miejsce, tok sprawy itd., a przytacza to wszystko z nadzwyczajną... licencyą poetycką. W dyskusyi nad ustawą o seminaryach nauczycielskich opowiadał p. x. Bohaczewski ze wszystkimi szczegółami sprawę pewnej nauczycielki z Wyszatec pod Przemyślem i wyciągnął z niej najdalej idące wnioski. Owóż p. Tarnawski jest członkiem okręgowej Rady szkolnej przemyskiej i zna tę sprawę doskonale z aktów urzędowych. Mówca odczytuje akta urzędowe, z których dowodnie okazuje się, iż owa nauczycielka postępowała najzupełniej poprawnie, natomiast tamtejszy paroch gr. kat. x. Zaharyewicz atakował tę nauczycielkę w najrozmaitsze sposoby, prześladował ją fałszywemi denuncyacyami, a w szkole w Wyszatycach (miejscowości przeważnie polskiej) starał się ustawicznie wywoływać waśnie narodowe. Mimo to, ażeby skłonić x. Zaharyewicza do zaprzestania ustawicznej agitacyi, Rada szkolna przeniosła ową nauczycielkę.

Godzina pół do 2-ej popołudniu. Głos zabiera p. Tomaszewski.

We środę będzie sesya Sejmu odroczoną do jesieni.

Wypadki w Rosyi.

Petersburg. Śledztwo w sprawie sali dumy okazało, że belki dachu są zupełnie dobre, a urządzenie wentylacyjne nad salą nie mogło być przyczyną zawalenia się. Komisya dumy skłonna jest akceptować opinię rzeczoznawców komisyi rządowej, że różnica temperatury (?) spowodowała zawalenie się. Komisya dumy sądzi, że lokalności pałacu Taurydzkiego nie są całkiem bezpieczne dla posiedzeń Dumy, sufit „sali Katarzyny", służącej za kuloar, grozi zawaleniem się. Komisya dumy zażądała przedłożenia sobie wszystkich rachunków z przebudowania pałacu Tau-

rydzkiego. Co do wyboru innej sali obrad, to komisya dumy, po obejrzeniu kilku teatrów cesarskich, zdecydowała się na „Teatr ludowy Mikołaja II-go“. Porozumiała się ona z ministerstwem skarbu co do oddania tej sali, tak, ażeby dnia 20 marca mogło się już odbyć tam posiedzenie.

Dzienniki utrzymują, że gdyby sufit był się zawalił podczas posiedzenia i gdyby większość posłów była zginęła, czarne sotnie i reakcyjne duchowieństwo byłoby przy pomocy rządu wytłumaczyło ciemnym masom ludowym, że sam Pan Bóg wdał się w tę sprawę i zniszczył dumę, gubiąc wrogów cara i prawosławia.

Z izby sądowej.

Sambor, 14 marca.

(O lekkomyślną krydę i fałszowanie weksli).

Rozpoczęła się tu przed sądem przysięgłych rozprawa przeciw 42-letniemu izraelicie, Markusowi Feuersteinowi, zamieszkałemu w Drohobyczu, właścicielowi terenów naftowych, rafineryi nafty w Krechowicach, realności i dóbr ziemskich, oskarżonemu o sfałszowanie podpisów na 56 wekslach, opiewających na łączną kwotę 193.000 koron.

Zaczął on karyerę finansową z trzema tysiącami koron, jako handlarz lnu i mąki; w roku 1877 miał już kilka tysięcy gotówki i założył w Drohobyczu magazyn mąki; za żoną wziął posag 10.000 koron, został wtedy agentem kołomyjskiej firmy handlu mącznego „Bretler“ i prowadził eskont weksli. Na tym interesie mąką i na eskoncie weksli zarobił 25.000. zlr .Odtąd zaczął się puszczać na coraz większe spekulacye: zakupywał tereny i rafinerye nafty, kupował realności, wreszcie i dobra ziemskie. Mając bardzo niewiele gotówki, operował głównie kredytem, a gdy ten się wyczerpał począł fałszować weksle.

Jak lekkomyślnie i ryzykownie prowadził swoje interesa dowodzi fakt, iż mając zaledwie 16.000 koron gotówki porwał się na zakupne dóbr Toustobaby, Zawadówka i Korzowa, w ten sposób, że przyjął zaraz dług Banku hipotecznego w kwocie 300.000 koron, i dopożyczył na weksle ze swoim i żony podpisem 270.000 k. A więc złożywszy tylko 16.000 koron własnych pieniędzy stał się właścicielem wspomnianych wyżej dóbr i zaintabulował je w połowie na siebie, a w połowie na żonę.

Naturalnie, że interesa prowadzone na tak wielkie rozmiary z tak małym zasobem gotówki nie mogły się dobrze skończyć. Począł fałszować na wekslach podpisy rozmaitych osób i puszczać te weksle w kurs, a kiedy widział, że niebawem musi wyjść na jaw cała sprawa, ogłosił 10 lutego r. z. niewypłacalność i tego samego dnia ulotnił się do Szwajcaryi. Jak sam zeznał później, ucieczka ta miała to na celu, aby wierzyciele, widząc, że nie będą mogli zaspokoić swych pretensyi w całości, zgodzili się na 50%. Wówczas passywa przewyższały aktywa o prawie pół miliona koron.

Po odczytaniu aktu oskarżenia rozpoczęło się przesłuchiwanie oskarżonego. Kalecząc niemożliwie język polski, tak, że chwilami trudno zrozumieć co mówi, opowiada on całą historyę swych operacyi finansowych, starając się przedstawić je w jak najpiękniejszem świetle.

Zapytany dlaczego fałszował na wekslach podpisy znajomych mu osób, a nie prosił ich o podpisy, odpowiedział, że każdy z nich jest „kapcan“ wart 200, albo 300 koron, i że gdyby on ich o podpis prosił, to później musiałby im także w zamian podpisywać weksle. A na uwagę przewodniczącego: „Jak mógł się dopuścić takiej zbrodni jak fałszowanie weksli“ — odpowiedział, że jest to ogólny mus kupiecki i że niema takiego kupca, któryby weksli nie fałszował“.

Rozprawa trwa dalej.

KRONIKA.

Lwów 18 marca.

Senat uniwersytetu lwowskiego postanowił wytoczyć śledztwo dyscyplinarne akademikom ruskim, którzy urządzili w dniu 23 stycznia napad na uniwersytet i pobili dra Winiarza, sekretarza uniwersytetu. Zawezwał więc przed swój trybunał wszystkich tych akademików, których podejrzywał o udział w tym napadzie. Na to oni z brutalnością niesłychaną i nieznaną w sferach uniwersyteckich całej Europy odpowiedzieli, że nie staną przed senatem i że kompetencyi jego w swojej sprawie nie uznają, a to z powodu, że najprzód senat ten miał przed dwoma miesiącami relegować jakiegoś studenta bez zbadania jego identyczności, a następnie że pozwolił, żeby ich sprawę osądzała najprzód policya i sąd karny, a wreszcie, że cierpi w swojem gronie ludzi takich, jak profesorowie Dunikowski i Głąbiński. Oświadczają tedy, że sprawa napadu na uniwersytet 23 stycznia i sprawa wypędzania z uniwersytetu młodzieży ruskiej w dniu 4 marca winny być złączone razem i oddane pod sąd ministerstwa oświaty, a nie pod sąd senatu uniwersytetu lwowskiego.

Oświadczenie to podpisało kilkunastu najbardziej skompromitowanych akademików ruskich. Oczywiście senat tę ich brutalną odpowiedź dołączy do spisu ich win i o tyle surowszą wymierzy im karę. Ale najsmutniejszem w tem wszystkiem jest to, że na uniwersytecie naszym zapanowały tak wstrętne stosunki, iż młodzież może dopuszczać się czynów, które w każdym cywilizowanym człowieku wywołują niesłychane oburzenie.

Niedorzeczna anegdota. Pisma radykalne mają ten przymiot, że układając swoje anegdoty, zdradzają zwykle nieznajomość ludzi i stosunków, zwłaszcza, jeżeli ci ludzie stoją na wysokich posterunkach i nie żyją za pan brat z radykalnymi żywiołami. Refleksya ta przyszła nam do głowy, czytając następującą zmyśloną anegdotę, w nekrologu śp. Hermana Löbla w *Nowej Reformie*:

„Przyszedł raz do namiestnika Alfreda Potockiego pewien szlachcic z żalem na to, że z jakąś sprawą zwrócił się do starostwa, ale to uznało się niekompetentnem, twierdząc, że sprawa należy do zakresu sądu; udał się więc do sądu, który znowu uchylił się od załatwienia sprawy, jako należącej do zakresu starostwa. „Cóż więc mam zrobić teraz Ekscelencyo?“, pyta się szlachcic. „A to rzecz ciekawa“, odpowiedział namiestnik i kazał poprosić wiceprezydenta namiestnictwa p. Filipa Zaleskiego. Ten zdziwił się także wypadkiem i powiedział, że trzebaby zapytać się Loebla. Świadek tego zajścia opowiada, że gdy Loebl, wówczas starosta, przyszedł, stali kołem: szlachcic, potem namiestnik, obok Zaleski, w końcu Loebl. Otóż Zaleski przedstawił rzecz Loeblowi, który mu powiedział: „To jest der negative Kompetenzkonflikt“, — na to Zaleski zwraca się do Potockiego i powtarza mu: „to jest der negative Kompetenzkonflikt“, — na co namiestnik, zwracając się do szlachcica, powtarza mu: „to jest der negative Kompetenzkonflikt“.

Co to jest „der negative Kompetenzkonflikt“, nikt oprócz Loebla nie wiedział, szlachcic jednak już się nie pytał, lecz ukłoniwszy się i namiestnikowi za załatwienie sprawy podziękowawszy, udał się... do biura Loebla“.

Tyle słów tej bajki, od *a* do *z* niezręcznie zmyślonej. Bo najpierw ś. p. Alfred hr. Potocki, jako człowiek, który odrazu stanął na wysokich stanowiskach i piastował takie urzędy, jak namiestnika, dwukrotnie resortowego ministra i wreszcie prezydenta gabinetu, a przedtem zajmował wysokie stanowisko w dyplomacyi, mógł nie znać się na jakichś drobiazgach manipulacyi biurokratycznej, ale miał rozum tak wielki i wykształcenie tak wszechstronne, że odrazu, podobnie jak i każdy redaktor *Nowej Reformy*, zrozumiał, co znaczy *„der negative Kompetenzkonflikt“*. Zawsze się mówi o niesłychanym sprycie i wielkiej, wyrafinowanej mądrości stronnictw konserwatywnych. Żywioły demokratyczne nienawidzą konserwatystów, ale zawsze uchylają głowę przed ich wielkim rozumem. Owóż jeżeli tak jest, to niechże *Nowa Reforma* zajrzy do roczników politycznych Galicyi, a z nich się dowie, że ś. p. Alfred Potocki był przez długie lata przywódzcą partyi konserwatywnej w naszym kraju, i że dopiero w ostatnim roku przed śmiercią, kiedy dostał ataku apoplektycznego, oddał p. Dunajewskiemu buławę hetmańską tego stronnictwa.

A teraz drugi z wymienionych powyżej dygnitarzy: JE. p. Filip Załeski, b. namiestnik, b. minister dla Galicyi, b. prezes Koła polskiego w Radzie państwa, chluba szkoły Gołuchowskiego i uważany przez samego Gołuchowskiego za najzdolniejszego ze swoich uczni, a do dziś dnia ceniony w naszym kraju, jako jedna z najtęższych głów politycznych, miałby nie wiedzieć co znaczy *„der negative Kompetenzkonflikt“* — skoro rozumie to pierwszy lepszy prawnik na uniwersytecie będący?

Że p. Löbl był rozumnym człowiekiem, o tem sami pisaliśmy w jego nekrologu, ale żeby mieli dokoła niego grupować się tylko ludzie nie mający najprostszych wiadomości jurydycznych, to wykryła dopiero *Nowa Reforma*, w chęci podniesienia inteligencyi ś. p. Löbla.

Dobrze mówi francuskie przysłowie, że bywają czasem ludzie tak niezręczni, iż ani rusz nie umieją się ukłonić przed jednym, żeby równocześnie nie pokazać pleców drugiemu.

Rabunek w mieszkaniu dra Mikolascha. Wczoraj około godziny 6-tej popołudniu dokonano w mieszkaniu dra Henryka Mikolascha, znajdującem się na II piętrze pasażu przy ul. Kopernika l. 1, rabunku, który przypomina zbójeckie napady, jakie się dzieją za kordonem. Oto pod nieobecność pp. Mikolaschów wtargnęli do mieszkania jacyś złoczyńcy, poranili ciężko służącego Floryana Łatkę, który na odgłos dzwonka prawdopodobnie drzwi otworzył, związali go, zakneblowali mu usta i wynieśli go aż do czwartego pokoju, a potem wytrychem otworzyli biurko p. Mikolaschowej, zabrali z niego 1.400 koron w gotówce i uciekli. Zbrodniarze byli widocznie o stosunkach w mieszkaniu pp. Mikolaschów bardzo dobrze poinformowani, gdyż p. Mikolaschowa wyszła była z dzieckiem na spacer zaledwie 10 minut przed godziną 6-tą, a gdy w kilkanaście minut po godzinie 6-tej wróciła kucharka, nie zastała już w mieszkaniu nikogo, oprócz zranionego ciężko służącego. Oprócz pieniędzy z biurka, nie zabrali złodzieje nic więcej, pomimo, że szafa ze srebrem stołowem była otwarta, co dowodzi, że rabusie nie chcieli brać nic takiego, coby mogło kiedyś naprowadzić na ich ślad.

Stacya ratunkowa zaopatrzyła służącego i stwierdziła, że rany zadano pilnikiem lub nożem na powierzchni klatki piersiowej, jednak płuca i serce są nietknięte. Z przerażenia i wstrząsu nerwowego nie mógł on wczoraj dać żadnych wyjaśnień i to wpłynęło bardzo niekorzystnie na tok śledztwa, gdyż przez noc mieli rabusie dosyć czasu, aby ujść ze Lwowa, zwłaszcza, że złupili pieniądze w gotówce, których mogli natychmiast użyć na wyjazd koleją.

Cały sposób wykonania rabunku naprowadza na domysł, że się tu nie nie rozchodzi o rzezimieszków lwowskich, lecz jakichś przybyszów. Przed kilkoma dniami przyszedł w południe do mieszkania pp. Mikolaschów nieznany, porządnie ubrany człowiek i starał się widzieć z panią Mikolaschową, lecz służący podejrzywał go o niedobre zamiary i wyrzucił go za drzwi. Nieznany odszedł z pogróżkami. Przypuszcza się, że był to jeden z wczorajszych bandytów, który wówczas może przyszedł dla zbadania terenu.

Jątrzyciele. W *Dile* czytamy następujące zdanie: „My już nieraz zaznaczaliśmy, że jednem z charakterystycznych znamion polskiej kultury jest mania kradzieży, wrodzona szczególnie u herbowej części polskich przywódców“. I następuje opis wypadku z kolią perłową pani profesorowej Antoniewiczowej. O wypadku tym nic dotąd nie wspominaliśmy w naszem piśmie, nie przywiązując do niego żadnej wartości. Według autentycznych relacyi, rzecz się miała jak następuje: profesorowa Antoniewiczowa zgubiła ową kolię na przedstawieniu amatorskiem, dawanem przez hrabinę Romanową Potocką. Znalazł ją młody Szembek, ale zamiast oddać ją natychmiast hr. Romanowej Potockiej, jako gospodyni tego zebrania towarzyskiego, i poprosić, żeby kazała zapytać ze sceny o to, kto zgubił ową kolię, ów młodzieniec pragnął wprzódy upewnić się co do wartości kolii, aby wyrachować jakiej kwoty ma żądać za znaleźne. Udał się więc po informacye do jubiera, a tam naturalnie wytłumaczono mu, że w takich wypadkach, gdy rzecz została zgubiona w zamkniętem towarzystwie, nie może sobie rościć prawa do żadnego znaleźnego.

Dla *Diła* jest ten fakt znamieniem, że przywódcy szlachty polskiej mają wrodzoną skłonność do kradzieży. Trzeba być w kompletnej gorączce, żeby w taki sposób rozumować.

A oto inny fakt jątrzenia: W nocy z piątku na sobotę wracało trzech techników Polaków z jakiejś zabawy. Byli w wesołym humorze. Spotkali koło kościoła Maryi Magdaleny kilku podochoconych baciarzy. Rozpoczęły się wzajemne zaczepki, a w końcu bójka. Nazajutrz w pismach wszechpolskich pojawiła się notatka, że oto oddział bojowy studentów ruskich zaczyna już napadać na studentów polskich i pobił ich bardzo dotkliwie koło kościoła Maryi Magdaleny.

Owoż ci „dotkliwie pobici“ akademicy polscy zgłosili się do nas wczoraj z oświadczeniem, że przedewszystkiem nie są pobici, lecz pobili tamtych; a następnie, że tamci to nie są wcale jacyś studenci ruscy, lecz zwykli baciarze i włóczęgi nocni — do tego narodowości polskiej.

Do czegoż więc dojdziemy, jeżeli tak ciągle prasa wszechpolska będzie jątrzyła Polaków na Rusinów, a prasa szowinistyczna ruska będzie jątrzyła Rusinów na Polaków? Kto szczuje kogoś na drugiego, ten niezawodnie pracuje albo w swoim własnym interesie, albo w interesie kogoś trzeciego. Któż jest ten trzeci, w którego interesie podały sobie dłonie do zgodnej pracy organa wszechpolskie z organami szowinistycznymi ruskimi?

Zygmunt Szwarcensztajn fenomenalny skrzypek siedmnastoletni, uczeń profesora Tadeusza Hanickiego w Kamieńcu podolskim, wystąpi raz tylko w piątek 22-go marca b. r. w sali Kasyna miejskiego. P. Szwarcensztajn koncertował ostatnimi czasy z ogromnem powodzeniem w Królestwie i w Rosyi, gdzie występy tego artysty wywoływały zachwyt ogólny i jednogłośne wielkie uznanie prasy dla niezwykłego talentu i zdumiewającej techniki młodziutkiego wirtuoza. W przejeździe za granicę da się słyszeć artysta we Lwowie, wypełniając cały program wieczoru swą grą, do której akompaniament objął prof. F. Neuhauser. Bilety są do nabycia w księgarni WP. Gubrynowicza i Schmidta (plac Kapitulny).

Z sądownictwa. Minister sprawiedliwości przeniósł radzców sądu krajowego: Marcina Wierzbickiego, naczelnika sądu pow. w Mostach wielkich, Ludwika Janischa, naczelnika sądu pow. w Gródku Jagiellońskim, Marcelego Fedyńskiego w Złoczowie, dra Edwarda Szulisławskiego, naczelnika sądu pow. w Żółkwi, i Edmunda Świerczyńskiego w Przemyślu. Zamianował radzcami sądu kraj.: zastępców prokuratorów dra Ryszarda Leżańskiego we Lwowie do Złoczowa, a Stanisława Olszewskiego w Brzeżanach do Stanisławowa; sekretarzy sądu: Józefa Willauma w Brzeżanach do Brzeżan, Bolesława Lityńskiego w Żółkwi do Kołomyi, Zenona Łukawieckiego w Tarnopolu do Tarnopola; zast. prok. dr. Rom. Czaykowskiego w Przemyślu do Przemyśla i sekretarzy sądu: dra Zygm. Myśkowa w Złoczowie do Złoczowa, Jana Mańkowskiego w Sanoku do Sambora i Karola Bałabana w Brzeżanach do Brzeżan; radzcami sądu kraj. i naczelnikami sądów pow. sędziów powiatowych: dra Józefa Hańczakowskiego w Ottyni, Jana Kasparka w Żabiu, Leona Lewickiego w Skolem, wszystkich trzech z pozostawieniem w dotychczasowych miejscach służby; sekretarza sądu Józefa Bühna we Lwowie do Żółkwi i sędziów pow.: Stanisława Ilnickiego w Rożniatowie, Zenobiusza Kopystiańskiego w Mikulińcach, Mieczysława Rossowskiego w Szczercu i Augusta Giebułtowskiego w Busku, wszystkich czterech z pozostawieniem w dotychczasowych miejscach służbowych.

Z Sambora donoszą, że aresztowano tam wczoraj niejakiego M. Teitelesa, handlarza końmi, który próbował przekupić sędziów przysięgłych, zasiadających w procesie, wytoczonym zbankrutowanemu nafciarzowi Feuersteinowi.

Samobójstwo na cmentarzu. W sobotę wieczorem na cmentarzu łyczakowskim odebrał sobie życie niejaki Stefan Maruszczak, introligator z zawodu, chory na suchoty. Zapewne dokonał tego rozpaczliwego kroku pod wpływem przeświadczenia, że choroba jego jest nieuleczalną.

Temperatura dnia 15 marca o godz. 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej —4, we Lwowie —4, w Tarnopolu —13, w Czerniowcach — 4, w Wiedniu —1, w Salcburgu —1, w Gracu —7, w Pradze 0, w Tryeście +4, w Abbazyi +5, w Raguzie + 4, w Budapeszcie —1, w Berlinie 0, w Hamburgu + 1, w Monachium —2, w Zurychu —1, w Genewie — 1, w Lugano +4, w Anglii +7, w Paryżu +3, w Biarritz + 8, w Nizzy + 6, w północnych Włoszech +2, we Florencyi +5, w Rzymie — 4, w Neapolu + 3, w Palermo +7, w Madrycie + 2, w Sztokholmie —4, w Petersburgu — 7, w Wilnie — 6, w Warszawie —6, w Moskwie — 13, w Kijowie — 9, w Odessie —5, w Serajewie — 9, w Belgradzie —4, w Bukareszcie — 5, w Sofii — 5, w Konstantynopolu +5, w Atenach + 6. (Temperatura według Celsiusza).

Zmarli. Jan Celestyn Wiktor Mrozowicki, stryj znanych, wielce utalentowanych literatek, pp. Zofii i Ireny Mrozowickich, zmarł onegdaj we Lwowie, przeżywszy lat 81.

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano — 2, w poł. — 1 R. Bar. 763. Spada. Pochmurno. Śnieżyca. Wiatr zachodni.

W sądzie.

— Jakto, nie prowadził pan żadnych ksiąg handlowych?

— Po co panie sędzio? Na co ja miałem zdrowie tracić i martwić się, że się w nich rachunki nie zgadzają

Odpowiedź Redakcyi. *W. P. Rudolf B. w Brodach.* Podaliśmy sprawozdanie z odczytu profesora Dunikowskiego o Meksyku, nie podając wcale naszego zdania o tym kraju i o entuzyastycznych zachwytach profesora Dunikowskiego. Sądziliśmy bowiem, że w sprawozdaniu z odczytu nie jest miejsce na polemikę. Jednakże teraz, skoro Pan, zachwycony pochwałami profesora Dunikowskiego, chce jechać do Meksyku, to musimy stanowczo mu doradzać, aby pierwej przeczytał jeszcze kilka poważnych studyów o tym kraju, gdyż relacya prof. Dunikowskiego przedstawiła rzecz stanowczo jednostronnie. Mówił o dodatnich stronach klimatu meksykańskiego, a nic nie wspominał o ujemnych. Tymczasem tych ujemnych jest tam bardzo dużo, że wspomniemy naprzykład tylko o tem, iż w Meksyku jest takie mnóstwo wszelakiego rodzaju, a niesłychanie zjadliwych owadów, iż ludzie majętni, a zwłaszcza Europejczycy, na których owady szczególniej namiętnie się rzucają, żyją w ten sposób, iż jedzą, a także śpią pod namiotami, urządzonymi na środku pokojów, z przeźroczystej gazy. Prof. Dunikowski zachwycał się pięknością kwiatów w Meksyku, a nie wspomniał o tem, że człowiek, któryby się poważył przytknąć do nosa i powąchać któryś z tych kwiatów, wciągnąłby razem z jego wonią kilka zjadliwych muszek, z których każda, zakradłszy się do nosa, wywołałaby bolesne gorączkowe choroby. Prof. Dunikowski nie mówił także o tem, że w Meksyku są moskity (komary), których ukąszenie zaraża człowieka żółtą febrą, dla Europejczyków tak niebezpieczną, że 80% ich umiera na tę chorobę. Niezaprzeczenie pięknym krajem jest Meksyk, ale męczarnie, na jakie tam Europejczyka skazują owady, są tak wielkie, że wobec nich nasza zimna i pochmurna Galicya wydaje się rajem.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. Dziś: „Sherlock Holmes“. We wtorek „Stara baśń,“ opera Żeleńskiego. We środę po raz 1szy „Śluby,“ poemat dramatyczny w 3 aktach St. Przybyszewskiego. — We czwartek „Pajace“, opera Leoncavalla, i „Cavalleria rusticana“, opera Mascagni'ego. — W piątek „Śluby“ St. Przybyszewskiego. — W sobotę popołudniu „Kupiec wenecki“, komedya Szekspira; wieczorem „Faust“ K. Gounoda. — W niedzielę popołudniu „Moralność pani Dulskiej“; wieczorem „Stara baśń“, opera W. Żeleńskiego. — W poniedziałek popołudniu „Jaś i Małgosia“, bajka operowa Humperdincka; wieczorem „Sherlock Holmes“. — We wtorek „Cyrulik sewilski“, opera Rossini'ego. — We środę „Zygfryd“ R. Wagnera.

Filharmonia lwowska nam komunikuje: Bardzo szerokie koła publiczności muzykalnej wybierają się do Filharmonii na środę, aby usłyszeć L. Slezaka. W program, który zasługuje na uwagę inteligentnym bardzo układem, wchodzą kompozycye Schuberta, Mozarta, Tostiego, Meyerbeera etc.

Repertuar teatru krakowskiego. We wtorek „Świecznik“ Musseta. — We środę „Sganarel“ Molièra i „Król Kandaules“ A. Gide'a. — We czwartek „Harde dusze“ Z. Sarneckiego. — W piątek „Cierpki owoc“ Bracco. — W sobotę „Śnieg“ St. Przybyszewskiego. — W niedzielę popołudniu „Ach to Zakopane“ C. Kraatza, wieczorem „Mąż z grzeczności“ Abrahamowicza i Ruszkowskiego.— W poniedziałek „Dziady“ A. Mickiewicza.

Colosseum Hermanów. Od 16 do 31 marca. Kongres gwiazd artystycznych. *Walki zapaśnicze kobiet w powietrzu. Daisy's Kalifornian Trip*, wielka pantomina kalifornijska w 2 obrazach. *The 8 Biseras*, damski korpus trębaczy. *Jeanne Antoinette*, gwiazda subretek koloraturowych. *Ach, ten Lolo!* groteska w 1 akcie. *Vitograph*, 10 nowości. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 16 marca.

(Panika na giełdach).

(Z). Wszystkie targi pieniężne przeszły w ciągu ubiegłych dwóch dni mniej lub więcej gwałtowne wstrząśnienia, które najbardziej odczuć się dały na giełdach berlińskiej i londyńskiej, cokolwiek mniej na paryskiej, a także i na tutejszej wywołały niemiłe echo. Onegdaj np. mieliśmy tu ogromną zniżkę kursu walorów górniczych, która w praskich akcyach żelaznych wynosiła aż 46 koron, w alpinach 15 koron itd. Na szczęście publiczność już od dosyć dawna trzyma się na uboczu od spekulacyi giełdowej, to też ta wielka baissa dotknęła tylko sfery zawodowych spekulantów.

Dziś nastało wprawdzie znaczne uspokojenie na targach pieniężnych, ale nie można dowierzać temu spokojowi, bo z byle jakiego powodu łatwo może każdej chwili znów wybuchnąć panika i zrządzić jeszcze większe spustoszenie.

Ogniskami obecnej depresyi są, jak to już nieraz podnosiłem, Berlin i Londyn, wszelako i jeden i drugi targ cierpią skutkiem niebezpiecznej sytuacyi, jaka wytworzyła się w Ameryce. Przez cały rok ubiegły depesze nowojorskie codzień zawiadamiały świat o niesłychanie świetnym rozwoju przemysłu i handlu i wogóle całego życia ekonomicznego w Ameryce, a kurs papierów amerykańskich rósł, jak to mówią, jak na drożdżach. Złakomili się na to kapitaliści europejscy i nabyli ogromne ilości papierów amerykańskich. W samych Niemczech, dzięki agitacyi dyrektora berlińskiego Towarzystwa dyskontowego Siemensa, ulokowano amerykańskich obligów kolejowych za kilkaset milionów marek. Wogóle zaś rok ubiegły przyniósł w Niemczech taką masę nowych emisyi, wynoszących z górą 2.800 milionów marek, w tem za 660 milionów samych tylko akcyi przemysłowych, że targ pieniężny został przesycony tymi nowymi papierami.

Stosunki amerykańskie zaczęły się psuć już z początkiem stycznia, gdyż cyrkulacya pieniędzy w Nowym Jorku stanowczo nie mogła wystarczyć na pokrycie ich zapotrzebowania. Zapomocą lombardu swych walorów i finansowania weksli, udało się Amerykanom ściągnąć jeszcze w lutym ogromne masy złota z Europy, i to jednak skończyło się, gdy europejskie wielkie banki poczęły bronić się przeciw tym zamachom amerykańskim, robiąc utrudnienia w lombardowaniu amerykańskich papierów i eskontowaniu weksli amerykańskich. To też już od 4 marca począwszy spadały kursa papierów na giełdzie nowojorskiej, a spadek ten robił coraz dalsze postępy, zaś w ciągu minionego tygodnia wyrodził się w formalną panikę. Akcye niektórych kolei amerykańskich straciły odrazu czwartą część swej wartości, wogóle zaś ulotniła się w ciągu tego tygodnia zwyżka całego roku ubiegłego. Wypadki te wywołały także w Londynie i Berlinie niemałe wstrząśnienia. Kurs angielskich konsoli spadł na $84^1/_2$. Tak niskiego kursu nie miały konsole od lat sześćdziesięciu, a mianowicie od rewolucyi roku 1848. W londyńskich sferach finansowych mówią, że banki angielskie wogóle nie będą przyjmowały papierów amerykańskich do lombardu. Na razie jednak burza, jak zaznaczyłem na wstępie, została zażegnana, bo dziś wróciły już na giełdach normalne stosunki, a kursa zaczęły się podnosić.

Wciąż jednak jak miecz Damoklesa wisi nad targami pieniężnymi możliwość dalszego podwyższenia stopy procentowej. W Londynie jest już eskont prywatny o $^1/_4$% droższy od urzędowej stopy banku angielskiego, bo wynosi $5^1/_4$%, jest zaś rzeczą niemal postanowioną, że jeżeli bank angielski podwyższy swoją stopę procentową na 6%, w takim razie bank niemiecki podwyższy swoją na 7%, a także bank austro-węgierski będzie zmuszony podwyższyć swoją stopę na 5% lub $5^1/_2$%.

Ostatnie wiadomości.

Rabunek w mieszkaniu dra Mikolascha. Służący Latka, którego rabusie wczoraj poranili, przyszedł do przytomności, lecz w zeznaniach jego brak logicznej konsekwencyi. Raz twierdzi, że gdy wszedł do kuchni, zastał tam już obcego człowieka, drugi raz opowiada, że zostawił drzwi kuchni otwarte i potem wszedł złodziej.

Nie można też wywnioskować z jego zeznań, czy weszło odrazu dwóch rabusiów i jeden z nich napadł na niego, podczas gdy drugi zabrał się do kradzieży, czy też wszedł najpierw jeden, a dopiero wśród bójki służącego z nim nadszedł drugi. Zdaje się, że fantazya Łatki jest jeszcze mocno podrażniona.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze popołudniowe).

Wiedeń. Dziś otwarto tutaj Kongres ochrony dzieci. Na kongres przybyło 1.800 delegatów. Obecni są ministrowie: sprawiedliwości Klein, spraw wewnętrznych Bienerth, oświaty Marchet. Prezes kongresu dr. Baernreither zagaił obrady mową, w której wskazał na znaczenie opieki nad dziećmi porzuconemi, osieroconemi i zaniedbanemi w celu uczynienia z nich pożytecznych dla społeczeństwa obywateli. Minister sprawiedliwości Klein przyrzekł imieniem rządu jak najgorętsze poparcie prac kongresu i dodał, że minister skarbu w budżecie na rok 1907 przeznaczył pewną sumę na cele ochrony dzieci.

Następnie zapowiedział, że ma zamiar zaproponować dopuszczenie kobiet do opieki prawnej, zaprowadzenie rad opiekuńczych, polepszenie opieki nad dziećmi nieślubnemi, zmianę postanowień ustawy cywilnej o prawie familijnem, zaprowadzenie wychowania na koszt publiczny i reformę przepisów ustawy karnej o młodocianych przestępcach.

Jednym z wiceprezydentów Kongresu wybrano prezydenta Tchórznickiego.

Praga. Walne zgromadzenie akcyonaryuszy banku Zivnostenska Banka uchwaliło wypłatę 5% dywidendy i 1% superdywidendy, ogółem 12 koron od akcyi. Uchwalono upoważnić radę nadzorczą do podwyższenia kapitału akcyjnego na 50 milionów koron, przez wydanie nowych akcyj po 200 koron nominalnej wartości.

Budapeszt. W klubie katolickim odbyło się wczoraj zgromadzenie katolików pod przewodnictwem biskupa Kohla. Przewodniczący zagaił przemową, w której wyraził ból, z powodu walki kościelno-politycznej we Francyi; nietylko Francya, ale cały świat katolicki boleje nad tem. Zgromadzenie powinno wyciągnąć wnioski dla siebie z tej walki.

Warszawa. W Stykowie przyszło do starcia między katolikami a maryawitami. 1 osoba zabita, kilka rannych.

Władymir. 500 chłopów z Gawryłowa splądrowało szynk monopolowy. Gdy usiłowali zniszczyć skład wódki, policya dała ognia. 10 chłopów odniosło ciężkie rany, ośmiu z nich już zmarło.

Petersburg. Sala posiedzeń dumy w pałacu Taurydzkim będzie do czwartku zrekonstruowana. 600 pionierów pracuje dzień i noc.

Moskwa. Aresztowanego za udział w napadzie rozbójniczym na instytut rolniczy adwokata przysięgłego Zdanowa postawiono przed wojenny sąd wojenny. Sędzia śledczy odmówił prośbie o wypuszczenie Zdanowa na wolną stopę za kaucyą 25.000 rubli.

Kaiserlautern. Kasyer tutejszego Banku przemysłowego, nazwiskiem Müller, uciekł, zdefraudowawszy 520.000 marek. Pieniądze przeważnie przegrał na giełdzie.

Berlin. W Czingtau stoją w płomieniach składy Towarzystwa naftowego „Asiatia - Mac Lain“. W składach tych jest 40.000 skrzyń z naftą. Wojsko prowadzi akcyę ratunkową.

Rzym. Izba posłów uchwaliła zniżenie cła od nafty.

San Salvador. Po trzydniowej bitwie minister wojny rzeczypospolitej Honduras generał Barahona pobił koło Maleras trzytysięczny korpus powstańców, którymi dowodził generał Gutienez. Walka toczyła się wzdłuż 8 milowej linii bojowej. Generał Gutienez poległ.

Glasgow, Spuszczono tu dziś na wodę największy krążownik wojenny na świecie „Indomitable“ (Niezwalczony).

Przyjechali dnia 18 marca. J. br. Błażowski z Czeremchowa. K. br. Błażowski z Dublan. K. Niwicka z Bortnik. S. Zwolski z Bryniec. W. Biechoński z Jasła. B. Heller z Borysławia. R. Rudolf z Pasiecznej. J. Miliński z Helenkowa. H. Mierzeński z Dubowiec. Dr. A. Lehman z Podhajec. P. Faatz z Demni wyżnej. S. Cieński z Wodnik. M. Rudzki z Krakowa. J. Rakowscy z Hermanowic. A. German z Wiednia. J. Verrier z Budapesztu.

Przyjechali dnia 18 marca. S. Dydyński z Godowy. J. Solak z Przecławia. H. Lebner z Wiednia. Z. Resch, R. Marczyński i T. Bogdanowicz z Krakowa. K. Eseel z Wiednia. K. Wiwarski z Tenczynka. L. Rauch z Sokala. W. Byk ze Stanisławowa. K. Rudolpski z Trzebini. L. Popławski z Królestwa. L. Rauch z Sokala. J. Langer, A. Habl i L. Koch z Wiednia. J. Parnasowie z Tarnopola. L. Lichtwitz z Pragi. H. Sawczyński z Bełza. J. Zubek ze Zborowa. J. Weiss z Wiednia. J. Jaruzelski z Babic. J. Zipper z Wiednia. W. Buszyński z Bołszowic. A. Wełowski z Nowodrzowa. O. Reif z Wiednia.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 18 marca.

Marki 117.92, renta majowa 98.85, węgierska renta koronowa 94·70, akcye: austr. zakł. kredyt. 678·75, węg. zakł. kred. 804·00, anglobanku 314·00, unionbanku 587·00, bankvereinu 559.50, länderbanku 450·50, kolei państw. 672·25, lombardy 148·00, akcye kolei Elbethal 000·00, fabryki broni 000·00, tytoniowe 420.50, alpiny 609·00, Rima Muranyi 561·50, prag. T. żel. 2592·00, losy tureckie 182·50, ruble 253.25 Usposobienie: słabe.

5% renta rosyjska na r. 1907 83·90.

Warszawa. Listy zastawne $4^1/_2$% Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem $88.77^1/_2$, takież 4% — 80.50. Listy zastawne 5% m. Warszawy 88·45, takież $4^1/_2$% 82·70.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1906 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8·40***, 5.50*, 8·45, 5.25, 9.80*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7,20, 11.45, **2.20**, 5.50, 10,30*
Z Podwołoczysk na Podzamcze: **2.05**, 7.00. 11.55, 5.25, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.10, 5.45, 9.05*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.37.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.55.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **8.25**, **12.45***, **2.45**, 4.05*, 8.35, 6.35*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.55, **2.21**, 6.15*, 9.50*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: **2.36**, 6.35, 11.15, 6.37* 10.08*.
Do Czerniowiec: **2.51**, **2.40**, 6·15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 7·25.
Do Jaworowa: 6.55, 6.00*.
Do Sambora: 8.55, 4.15, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 3.30.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05*.
Do Ławocznego: 7.30, 2.30, 6.25*.
Do Bełzca: 10.45.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 9.10*.
Do Janowa 8.14.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

5)

KOBIETA ZASAD.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

Naturalnie! I młodzieniec zaczął malować osadę tak czarodziejskim pendzlem, jakby istotnie była perłą stepu. Wszystko w niej było piękne: położenie, ludność, step, pomniki, teatr — Nowy Jork pod tym względem równać się z nią nie może. Tylko teatr Topazu jeszcze wyżej stoi. Ten naprawdę warto zobaczyć i poznać.

Topazu tak nie chwalił — wydałoby mu się rzeczą zbyt trywialną. Opisał go tylko, jako najpiękniejszą osadę, posiadającą najlepsze warunki do dalszego rozwoju, a tem samem przyszłość przed sobą. Następnie zmienił przedmiot. Podniecał panią Mutrie do rozmowy, aby poznać jej słabe strony i odgadnąć, czem ją pozyskać: od chwili wejścia do wagonu zrozumiał on, jaką władzę musiała mieć piękna kobieta nad mężem, z czego skorzystać pragnął. Znał jej przeszłość, gdyż była córką właściciela hotelu w Omaha, który poznał przed laty. Więc rozpytywał o rodzinne miasto, dom i ojca, o ważniejsze zmiany, jakie tam zaszły od czasu jego pobytu. Kto zarządza teraz hotelem? Czy ten sam rządca, co dawniej? A kucharz? Kucharz zawsze znakomity. Na wspomnienie o nim ślinka idzie do ust. Kiedy była małą, dał jej raz duży kawał cukru lodowatego, który pokryjomu jadła potem w łóżku... A jakie robi ciastka!.. Wyborne, to też jest dotychczas i nie myślą go zmienić.

Wesołość Nika była zaraźliwą, jego życzliwe i szczere obejście miało urok niepokonany. Zjednywał sobie ludzi zarówno ufnością, jak bijącą z niego siłą i energią, obok dziwnej dobroci i wyrozumiałości, pełnej serdecznego ciepła. Tak się stało i z panią Mutrie: zapomniała wkrótce, że poznała go przed godziną. Kiedy znudziło im się w gorącym wagonie, wyszli na ganek, aby stamtąd lepiej podziwiać widok na wąwóz Arkansas, w który wjeżdżali właśnie. Wysokie skały zdawały się łączyć nad ich głowami i zamykać nagle za nimi.

Pociąg mknął coraz dalej, budząc dziwne echa w tym świecie jeszcze pierwotnym i pustym, zakłócając jego ciszę niezmąconą, jego dziewiczą piękność. Jak wąż syczący z chwiejną równowagą przesuwał się pociąg gwałtownie ponad górskim potokiem, albo stromą otchłanią. Niekiedy skręcał tak nagle i mocno, że wagony pochylały się na jedną stronę, i kobieta z trwogą przymykała oczy. Wówczas Tarwin uprzejmie podawał jej ramię, i stali tak oboje, oparci o siebie, wstrząsani drganiem parowej maszyny, śledząc wzrokiem szczyty, biegnące półkręgiem, rysujące na niebie ostre kontury.

Pani Mutrie co chwila wydawała okrzyki podziwu i zdumienia; na jej naturę lekką, powierzchowną ten krajobraz tragiczny, jak śmierć, sprawił silne i głębokie wrażenie; zapomniała o zwykłej nawet kokieteryi i odzyskała swobodę umysłu dopiero, gdy minęli straszny wąwóz, i weszli z powrotem do wagonu.

Sheriff rozmawiał tymczasem z prezesem, który powitał żonę badawczem spojrzeniem. Zalotna pani odgadła w niem zazdrość i, lekko uderzywszy męża po pulchnej twarzy, kokieteryjnie usiadła na ławce, wskazując Tarwinowi miejsce obok siebie i wyrażając kapryśne życzenie, ażeby ją rozśmieszył. Nik w odpowiedzi zaczął opowiadać jej pierwszą swoją wyprawę w te góry, gdzie miał szukać pokładów srebra, a tymczasem znalazł tylko ametysty.

— Ametysty? Doprawdy? — powtórzyła młoda kobieta, podnosząc się z zajęciem. — Prawdziwe ametysty? To ciekawe! Nie wiedziałam, że są w Colorado!

W jasnych jej oczach zadrgał płomień namiętności i Tarwin schwycił w lot ten błysk przelotny: więc tędy droga?

Znał się wybornie na drogich kamieniach, stanowiących jedno z naturalnych bogactw jego rodzinnego kraju, mógł więc godzinę mówić o dyamentach, o karbunkułach, rubinach, szmaragdach, ale czy to sprowadzi linię Colorado-Kalifornia na Topaz? W każdym razie skorzystać trzeba z położenia, delikatnie, subtelnie, zręcznie wypróbować — tu — tam — wybadać teren, i jeśli się znajdzie furtka — do ataku! To właśnie dla niego, on tylko taką sprawę poprowadzić umie, on tylko, nikt inny.

I już się widział wzrokiem wyobraźni tryumfalnie wprowadzającym żelazną wstęgę do drogiego miasta; widział się twórcą jego nowego rozwoju, jego świetnej przyszłości, widział się milionerem, właścicielem ziemi, tysięcy akrów — podczas gdy Rustler musiał z konieczności rzeczy gasnąć, ginąć pod popiołami nicości, nędzy i zapomnienia.

Na palcach pani Mutrie zauważył całą masę pierścionków i drogich kamieni; zwłaszcza na lewej ręce ogromny soliter jaśniał szczególnym blaskiem; młoda kobieta zdjęła go z lekkim uśmiechem i podała, aby podziwiał klejnot istotnie niezwykły.

— Ma on swoją historyę — rzekła tajemniczo. — Ojciec kupił go od pewnego tragika, który nie miał za co wyjechać z Omaha po gościnnych występach wobec pustych ławek. Aktor zaś dostał go od gracza, który w pojedynku zabił przeciwnika za grę podstępną i zabrał mu klejnot, jako wynagrodzenie swojej straty; nieboszczyk zaś ukradł go podobno jakiemuś jubilerowi, który zbankrutował. Jednem słowem — kamień tragiczny, nie prawdaż?

Tarwin słuchał jej słów z uwagą, poważnie, jak pies, czatujący na ślady zwierzyny.

— Szukam też na nim nieraz jakich śladów zbrodni, których był świadkiem... Piękne zbrodnie!... Można zadrzeć na myśl o nich — ale wolę sam kamień. Bardzo czysty, prawda? Papa znał się na tem, a mówił, że nie spotkał kamienia z taką wodą. Widział ich wiele.

I miłosnym wzrokiem obejmowała wielki, świetny dyament, który mienił się grą wspaniałą.

— Ach, cóż się może równać z pięknością drogiego kamienia! — zawołała nagle z zapałem, oczy jej zapłonęły dziwnym blaskiem, a głos po raz pierwszy miał akcent szczerości. — Z rozkoszą spędziłabym życie, przypatrując się takim kosztownościom, gdyż klejnot bez skazy jest największym cudem natury. Papa znał tę namiętność moją i kupował często klejnoty rzadkie, aby mi sprawić przyjemność. Właściciel hotelu zawsze ma dosyć okazyi do podobnego handlu. — Mógł je nabywać tanio... — dodała ze szczególnem ust wygięciem. — Zresztą wybierał zawsze tylko to, co miało wartość prawdziwą, a przy sposobności wymieniał zawsze na rzeczy cenniejsze. Ach, uwielbiam kamienie! Kocham je! One są lepsze od ludzi: nie zdradzają, nie tracą nigdy swej piękności!

— Znam naszyjnik, któryby podobał się pani, skoro lubisz te rzeczy — rzekł poważnie Tarwin.

— Doprawdy? — zawołała z rozpromienionym wzrokiem. — Gdzież on jest?

— Bardzo daleko.

— Wiem: naszyjnik Tifony, znam go — rzekła z pogardą.

— O, nie! Ten jest dalej.

— Gdzież więc?

— W Indyach Wschodnich.

Spojrzała na Nika z widocznem zajęciem.

— Opowiedz mi pan, proszę, jakże on wygląda? — spytała z przymileniem. — Naprawdę tak piękny?

— Wspaniały! — odparł Tarwin i umilkł, jakby w zamyśleniu.

— Doprawdy? Nie dręcz mię pan! Jak wygląda?

— Z dyamentów, pereł, rubinów, szafirów, turkusów i ametystów. Rubiny są wielkości pani pięści, a dyamenty, jak kurze jaja. Królewski skarb!

Słuchała go, wstrzymując oddech, by nie stracić żadnego tonu w jego krótkich słowach. Nagle westchnęła i przymknęła oczy.

— Powiedz mi pan, przez litość — rzekła cicho — gdzież on jest? Kto posiada ten cud świata!

— Zdobi on szyję bożka w Rajputana. Pragnęłaby go pani?

Roześmiała się z przymusem.

— O, tak! — rzekła tonem rezygnacyi bez wiary.

— Przywiozę go pani — odezwał się Tarwin.

Spojrzała nań zdziwiona.

— Pan mi go przywiezie?

— Przywiozę — powtórzył Tarwin.

Odrzuciła w tył głowę i tłustym amorkom, zdobiącym plafon wagonu, posłała gamę szczerego, wesołego śmiechu. Kiedy się śmiała, zawsze odrzucała głowę, aby pokazać piękną, białą szyję.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich Z drukarni E. Winiarza.